Świat dziewcząt



Nr. 23 50 gr.

CHCĘ WSZYSTKO UMIEĆ

MASKOTKI Z FILCU.

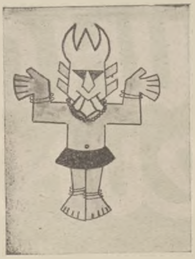
Często jesteśmy w kłopocie, co ofiarować przyjaciółce na imieniny, kiedy kieszeń pusta. Chodzi tu o drobiazg, o pamięć, o jakąś miłą drobnostkę.

Może w domu znajdzie się stary kapelusz filcowy, jakiś barwny kawałek sukna, jakiś skrawek kolorowej skóry, można z tego coś wykombinować.

Maskotki przynoszące szczęście. Maskotki to dowód pamięci i znak życzliwości.

Podajemy trzy wzory. Pierwszy to zabawny Chińczyk, ten drugi to ciura z obozu Kara Mustafy i ostatni dziwny fetysz z nad Nigru, albo „święty turecki". Weźmy tego ostatniego. Odrysowujemy jego sylwetkę na filcu i dokładnie wycinamy. Najlepszy do tego byłby filc w kolorze jasno bronzowym. Na twarzy przylepiamy w miejscu oczu trójkąciki z szafirowego lub szarego sukna, nos i brodę pomarańczowe, uszy i spódniczka w innych kolorach, mogą być czerwone albo zielone. Na ręce i nogi nakładamy metalowe kółka używane jako wieszadełka do obrazków (można je dostać za kilka groszy w sklepie Siudeckiego). Na szyję zakładamy kolorowe koraliczki. Gdy filc jest dość jasny, można fetysza wytatuować kolorowym tuszem. Do klejenia należy używać kleju w tubach do fotografji. Taki potworek wygląda ciekawie. Koleżankę można uprzedzić, że przynosi szczęście, szczególnie w geometrji. Laleczkę można jeszcze nakleić na grubą wstążkę czerwoną, lub rdzawą i może służyć jako zakładka do książek.

Chińczyka i Turka zrobić najlepiej z bardzo kolorowych kawałków. Turek lubi szarawary zielone i niebieski kaftan.



Święty turecki.



Chińczyk.



Turek.

COŚ SMACZNEGO

Sałata z surowych jarzyn.

Ogórki już się skończyły, pomidory są coraz gorsze i coraz droższe, o sałacie niedługo będziemy musiały zapomnieć — do wiosny. Będą się jeszcze coprawda te wszystkie przesmaczne rzeczy zielenić i czerwienić w oknach sklepów, ale któż będzie mógł sobie na nie pozwolić?! Ponieważ jednak tak zwane „surówki" są zdrowym i koniecznym dodatkiem naszego pożywienia, musimy je czemś zastąpić!

Najlepiej sałatką z suszonych jarzyn, która jest tania, zdrowa i smaczna.

Przygotowuje się ją w taki sposób (proporcja na 6 osób).

Dwie duże marchwie, dwie pietruszki, seler i jabłko utrzeć na tarce (takiej, co to daje długie i cienkie „wiórki") i sparzyć wrzątkiem. Dodać dwie pokrajane drobno cebule, pokropić octem i soją (tak zwana „polska oliwa"). Można też przygotować sos majonezowy z 2 żółtek i 4 łyżek soji. (pół litra tej oliwy kosztuje 1 zł. 20 gr.) i zalać sałatkę.

BRATNIE DUSZE

Do „Bratnich Dusz".

Mam lat 14, chodzę do piątej klasy gimnazjalnej. Lubię chodzić na wycieczki, lubię przyrodę, muzykę, kino, teatr, lody włoskie i tańczyć. Znam język niemiecki i francuski. Pragnę korespondować z dziewczynką w moim wieku o tych samych zamiłowaniach. **„Biała Różyczka".**

Kochane Bratnie Duszyczki!!

Muszę się Wam przedstawić, nazywam się Irka, mam 14 lat, ciemne włosy, i czarne oczy i jestem bardzo wesoła. Nazywają mnie „Cyganeczką", bo mam ciemną cerę. Szalenie lubię kino, teatr i muzykę, i uwielbiam „Świat Dziewcząt". Która z czytelniczek ma takie upodobania, możliwie harcerka, niech napisze do mnie, a reszty dowie się w liście. Pa! całuję wszystkie „Bratnie Duszyczki".

Cyganeczka.

P. S. Proszę do mnie pisać pod adresem: Irka Adamowiczówna. Dubno (Wołyń), ul. Panieńska Nr. 41.

Do „Bratnich Dusz".

Kochany „Świecie Dziewcząt", wiele dziewczynek przy Twojej pomocy znalazło sobie „bratnie dusze". I ja, choć mam przyjaciółkę, jednak pragnęłabym znaleźć jakąś „bratnią duszę", która zawsze mogłaby mnie zrozumieć. Mam piętnaście lat i otrzymałam obecnie promocję do siódmej klasy. Z usposobienia jestem poważna, śmiać się jednak lubię. Rodzice moi mieszkają na wsi. Wieś kocham całą duszą, lubię swobodę i przestrzeń. Jeśli znalazłaby się dziewczynka o podobnych zamiłowaniach, to bardzobym chciała nawiązać z nią korespondencję. Nadmienić zapomniałam, że lubię również pisać, a ze wszystkich przedmiotów najlepiej lubię polski. Adres mój: Sarnowo, poczta Izbica Kuj.

Kochany „Świecie", gorącem mojem pragnieniem jest znaleźć „bratnią duszę". Jeśli się to stanie za Twojem pośrednictwem, to będę Ci gorąco wdzięczna.

Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia i pozostaję z głębokim szacunkiem

Janka P.

Janina Przelaskowska.
Sarnowo.

Do „Bratnich Dusz".

Nareszcie odważyłam się (czemu się bardzo dziwię) napisać do „Bratnich Dusz". Szukam przyjaźni. Niestety tracę już nadzieję, czy ją kiedykolwiek znajdę, a przecież ona chyba istnieje na świecie. Jest mi naprawdę potrzebna przyjaźń, przyjaźń gorąca, polegająca na wzajemnem zaufaniu i zupełnej szczerości. Czy znajdzie się ktoś, kto pocieszy samotną duszę i przyjmie ją do siebie? Proszę Was, Najdroższe, nie każcie mi zupełnie zwątpić, niech się wreszcie spełni moje najgorętsze życzenie.

Ale czas się nareszcie przedstawić. Otóż jestem szesnastoletnią poznanianką, chodzę do gimnazjum. Kocham przyrodę, muzykę, teatr, kino, sport, ładne książki; uwielbiam „Świat dziewcząt". Umiem być bardzo wesoła; jestem wielką marzycielką.

Jeszcze raz gorąco Was proszę, napiszcie. Zapewniam, że potrafię być szczerą i oddaną przyjaciółką. Pierwszą korespondencję proszę kierować pod adresem: Poznań. Poste Restante, poczta główna. Dla „Lili".

A TERAZ POROZMAWIAMY

Jance B. z Worochty. Byłoby dobrze, gdybyś przysłała taki, żywo napisany, reportaż z sanatorjum — masz gotowy temat z własnych obserwacyj. Czy uczysz się w tym roku i jak jest ze zdrowiem? Byłoby dobrze, gdybyś napisała do Bratnich dusz najpierw za pośrednictwem „Świata", a potem nawiązała prywatną korespondencję. Najserdeczniejsze pozdrowienia.

Krysi Mateckiej. List Twój, z trzech kartek złożony, jest prawdziwym wzorem korespondencji ze światem. Każda kartka do odnośnego działu adresowana i nie zawiera żadnych innych spraw. Właśnie o to prosimy. Projekt okładki można przysłać, mając ukończoną Akademję Sztuk Pięknych, oczywiście. Warunki do umówienia listownego, ale sporo okładek już mamy obstalowanych i w tym roku będzie zawsze jakaś ilustracja, nie będą więc za każdym razem zmieniane tła. Rękawiczki gumowe dostaniesz w składzie aptecznym już od trzech zł. Jeśli nie znajdziesz na miejscu, poleć, żeby ci sprowadzili. O szyciu dla wiejskich dzieci zamieścimy artykuł. Czy krój majteczek dziecinnych jest jeszcze potrzebny? Formy dla dzieci dostaniesz po napisaniu do redakcji „Dziecka i Matki", Solec 87 i nadesłaniu 50 gr. (można znaczkami).

Kinomance. Trudno nam uczynić zadość Twemu życzeniu, albowiem, prócz filmowego, mamy jeszcze dużo innych działów, a życiorysy artystów (wyliczasz ich cały tuzin) zajęłyby zbyt dużo miejsca. A, pozatem dlaczego interesują Cię właśnie ci artyści i artystki, skoro — jak sama piszesz — nie chodzisz do kina? Czem więc Cię zafrapowali? Skąd ich znasz? Czy nie jest to aby taki „owczy pęd" za innemi koleżankami, które uważają, że wypada być „gwiazdomanką"? Tymczasem w sztuce filmowej jest tyle innych czynników ważnych i interesujących poza „gwiazdami". O tem właśnie mamy zamiar mówić w naszym dziale filmowym. Naturalnie, że i aktor jest jednym ze składników filmu, dlatego też, od czasu do czasu, będziemy pisali i o nich, może więc wtedy znajdziesz coś i o Twoich ulubieńcach.

Rok I Warszawa, dnia 1 listopada 1933 r. Nr 23



TREŚĆ NUMERU: Gdy światła na grobach zabłysną — *Wanda Kupczyńska.* Ulani! Ulani! — *Zofja Miszewska.* Na cichym remingtonie — *A. Gadomska.* 10 dni w świecie. Święto umarłych — *Żółtowska.* Encyklopedja. Nasza okładka. Konkurs literacki. Zoo — *A. Gadomska.* Dwa wywiady — *Muszyńska.* Rozrywki umysłowe. Teatr — *Z. M.* Nowa Ustawa Samorządowa — *Zieleńczykówna.* Rok Polarny, c. d. — *Ewa Zychówna.* Czar skrzydeł — *Gaston Ch. Richard.* Łucznictwo — *J. P.* Kurjer Dekadowy — *M. K.* Maskotki. A teraz porozmawiamy. Bratnie Dusze.

GDY ŚWIATŁA NA GROBACH ZABŁYSNĄ

11 listopada obchodzić będziemy w całej Polsce piętnastolecie odzyskania niepodległości.

Piętnaście lat! prawie wierzyć się nie chce, że tylko piętnaście lat dzieli nas od tych nieprawdopodobnie dalekich czasów, kiedy na ziemiach polskich rządzili obcy, kiedy nauczanie po polsku było rzeczą zakazaną, a miłość ojczyzny — aktem odwagi cywilnej.

Przez te piętnaście lat z niemowląt wyrośliście na dziewczęta. Przez te piętnaście lat okrzepła Polska, podleczyła się z ran, zadanych przez długoletnią niewolę i krwawe ostatnie wojny, stała się na nowo silnem państwem, o którem kiedyś powiedziano: „inni narodowie za zaszczyt sobie mają, że są z nami w przymierzu".

Ta Nowa Polska jest jedyną, jaką znacie.

Możemy wam tego szczerze zazdrościć i cieszyć się, że czasy niewoli są dla was nieskończenie dalekie i zupełnie niezrozumiałe.

Przecież to prawo młodości — żyć dniem dzisiejszym! „Wczoraj" należy do starszych.

A jednak nie możemy nigdy „wczoraj" z naszego życia zupełnie wykreślić!

Wszystko, co nas otacza, wszystko, czem żyjemy — tkwi w tem „wczoraj" korzeniami i z niego wyrasta, podobnie jak z waszego młodzieńczego „dzisiaj" wyrośnie „jutro" narodu i ludzkości.

Jeżeli Polska silna i niepodległa istnieje, to jest to zasługa tych, których już między nami niema. Ich mózgi, serca i wole budowały naszą rzeczywistość.

Nieznanym żołnierzom, którzy walczyli o wolność kraju,

Nieznanym matkom, które z pokolenia na pokolenie przekazać umiały tradycje narodowe,

Nieznanym nauczycielom, którzy wbrew zakusom zaborców budzili miłość do mowy ojczystej,

Narówni z wielkimi i sławnymi wodzami powstań, działaczami, artystami, uczonymi i pisarzami zawdzięczamy, że nie zatraciliśmy naszej odrębności narodowej, że po latach niewoli mogliśmy wskrzesić wielkie, silne, wolne państwo!

Pomyślcie chwilę o nich w dniu poświęconym pamięci zmarłych. Stać przecież waszą promienną młodość na to, by w tym jednym dniu w roku — w Dniu Zadusznym — przenieść się myślą w przeszłość.

Zapalając światło na grobach swoich bliskich i drogich, uczcijcie chwilą milczącego skupienia wszystkich, którzy krwią przelaną na polach bitew, wolą przetrwania, przywiązaniem do mowy ojczystej przygotowali radosne światło niepodległości. *Wanda Kupczyńska.*

UŁANI, UŁANI...



Wojsko, dużo pięknego, kolorowego wojska na Błoniach Krakowskich w słoneczny, jesienny ranek dnia 6 października b. r.

Sto tysięcy ludzi zaległo Błonia. Sto tysięcy ludzi wznosi entuzjastyczne okrzyki na cześć Pana Prezydenta, Marszałka Piłsudskiego, generalicji, wojska i całej Polski, której moc, siła i żywotność zaprezentuje to wielkie Święto polskiej konnicy.

Aż dziw bierze, że ludzie poważni, zrównoważeni, podejrzanie manipulują chustkami koło oczów, chrząkając, że to niby nic, że tylko tumany kurzu, wznoszone kopytami ułańskich koni..

Uśmiechnijmy się z tego dobrotliwie i utopmy wzrok w powodzi barw, które migocą przed nami.

Defiladę prowadzi inspektor armji generał dywizji Dreszer, a za nim wyciągniętym kłusem z brzęczącym tupotem końskim idzie 12 pułków kawalerji, pułków o chlubnych nazwiskach, jak: 1 p. szwoleżerów im. Marszałka Piłsudskiego, oznaczony orderem Virtuti Militari, 13 p. ułanów wielkopolskich, również odznaczony Virtuti Militari, 20 p. im. króla Jana Sobieskiego z Rzeszowa, 8 pułk ułanów ks. Józefa Poniatowskiego z Krakowa i wiele innych pięknych i szanownych pułków, które nisko z poszumem jedwabiu pochylą sztandary przed trybuną Prezydenta i Marszałka Piłsudskiego.

A wśród przesuwających się przed naszemi oczami twarzy żołnierskich i oficerskich, jakże łatwo odnaleźć te, które przynoszą odległe wspomnienie pewnego dnia sierpniowego, kiedy to z tych samych murów starego Krakowa nieliczna garstka zapaleńców wymykała się na niepewny los, na zatracenie może...

Dziś jadą w chwale, wcieleni w te 12 pułków, które przecież i z ich trudów powstały.

Wspomnienie to uparcie nasuwa się myślom i podczas defilady i wówczas, gdy Marszałek Piłsudski na czele półplutonu generałów chwilą cichego skupienia uczcił prochy króla Jana Sobieskiego, spoczywające w krypcie Wawelskiej.

W tej chwili również zaśpiewał mocnym głosem dzwon Zygmunta i wszystkie dzwony wszystkich kościołów krakowskich, triumfalne Te Deum zatargało murami katedry na Wawelu, baterje ciężkich dział dały 21 strzałów honorowych.

Z ciekawością i szacunkiem przyglądali się polskiej kawalerji licznie przybyli przedstawiciele państw zagranicznych. Patrzyli, porównywali i zapamiętali jej bojową podstawę, dziarskość i świetną formę.

Jednym z najmilszych gości był przedstawiciel Turcji, który przyjechał specjalnie, aby złożyć hołd prochom obrońcy Wiednia. Był to nietylko akt kurtuazji, ale i dowód, że współczesna, młoda Turcja potrafi objektywnie i uczciwie ustosunkować się do spraw odległej przeszłości.

Tak chwała wojenna dawnych dni i dni dzisiejszych splotła się w jeden nieprzerwany łańcuch syntezy historycznej, którą ocenią może dopiero przyszłe pokolenia.

My, współcześni, możemy być jedynie szczęśliwi, że dano nam przeżyć taki jeden dzień jesienny, złoty dzień, w którym miasto było czerwone i białe, a dusze ludzkie pełne słońca, że oto tworzymy, tworzymy Polskę!

Zofja Miszewska.





A. GADOMSKA

NA CICHYM REMINGTONIE

NOWELA

(Ciąg dalszy).

— Mnie jest doprawdy bardzo przykro, Marysiu.

— No, no, staruszku kochany, nie trap się. Ty napewno nie masz podstaw do wyrzutów sumienia, a twoje wieczorówki do 11-ej — to nie? A twoje skrócone urlopy? Ale wszystko się skończy.

— Ja już nie mogę patrzeć na tę przebrzydłą maszynę — zamruczał Zdzich.

— A ja masynę potłukę i wyzucę — zawtórowała zawzięcie Fasolka.

— Ach, ty mała pleciugo, lepiej teraz bądź cicho, bo mamusia musi się położyć.

— A ja potłukę...

Po chwili każde zaszyło się w swój kąt.

— Do stu djabłów... — rozległ się nagle pomieszany złością i rozpaczą głos Zdzicha — kto mi tu załał tuszem cały rysunek?! Fasolko, ty wstrętna smarkulo, poco mi tu przewracasz na rajsbrecie? A masz, a masz, a masz!

— Co się stało?

— U-u-u-u. U-u-u. U-u-u-u — zabekiwała się Fasolka.

— Nie. To przechodzi pojęcie. Co ja teraz zrobię? Raz jeden jedyny zostawiłem wszystko na wierzchu, bo doprawdy nie miałem czasu schować i taki byłem strasznie śpiący, to musiała mi taką krzywdę zrobić. Ale prosiłem, upominałem, zakazywałem, żeby się tu nie zbliżała. A tu masz: tyle orki napróżno. Żeby wszyscy djabli wzięli tę ciasnotę! Ja swojej „połówki" nigdy chyba nie zrobię.

Twarze rodziców wyrażały tyle przykrości, że Zdzichowi zrobiło się żal.

— Ja wiem, że trzeba przetrzymać, że wy się zapracowujecie na tę beznadziejną kooperatywę: że wszyscy musimy zacisnąć zęby, aby się wreszcie ludzkiego mieszkania doczekać. Ale, ten rok tak się rozpaczliwie wlecze... O, spójrz, tatusiu, co ona mi tu zrobiła.

— Właściwie, to ja jestem winna— powiedziała smutno matka — ja ją zostawiłam w tym pokoju, żeby mi tam nie przeszkadzała pisać.

— Nie, mamusiu, to wina tej przeklętej ciasnoty, tej nory ohydnej, w której „mieszkamy", wreszcie — tego moloCha-kooperatywy, która nam rok jeszcze każe się tak strasznie męczyć w tych dwóch klitkach. Ja sobie zdaję sprawę, że Fasolka musi się gdzieś wydokazywać, ale czemu akurat tutaj? Ja nie jestem w stanie siedzieć dwadzieścia cztery godziny w kreślarni... Ja się tak cieszę, gdy mogę popracować w domu: gdy między jedna korką i drugą — między jednym wykładem, a drugim wpadnę do was...

— To też, synku, wracam do maszyny, tatuś idzie na wieczorówkę, a ty, biedaku, ty... miej cierpliwość, już tylko rok.

I znów popłynęły dni zwykłym trybem, dni — naprężone „zaciskaniem zębów" i odprężane uśmiechami. A każdy cuk-cuk maszyny, każda niedopita — w pośpiechu do zajęcia wieczorowego — szklanka herbaty, każda próba cierpliwości nad Tutunią, czy Dzidziusiem zbliżały gromadkę pięciorga sprzymierzeńców do zdobycia fortecy-mieszkania... Tylko, że krok ojca stawał się coraz cięższy, tylko rzęsy zaczerwienionych powiek matki coraz częściej biły jedna o drugą, a krzyż bolał tak nieznośnie.

Ale i zima szła w tempie amerykańskiem. I to nie taka rozdziamdziana, anemiczna i niezdecydowana, ale siarczysta, co się zowie. Wszystkie barometry rokowały jej najpiękniejszą przyszłość; więc pomyślcie: Białowieża... las w zimie... zima w lesie... Nie — to zwarjować można z radości.

Zdzierała zatem Mirka kartki z kalendarza, bo już tylko dziesięć — już tylko osiem — już tylko trzy dni dzieliły ją od eskapady „daleko, daleko".

— Mamuś, jak to będzie z wizytą u pani Wagnerowej?

— Cierpliwości, Mirko, cierpliwości.

— A to w gorącej wodzie kąpana moja córeczka — roześmiał się ojciec — jak to niedawno miałaś zupełnie inne „ulubione zajęcia"... A możebyś tak dla skrócenia czasu przypomniała sobie, jak to było?

— Och, gdybym tylko nie była już taka stara...

Istniał bowiem kiedyś przed laty sławny w rodzinie i wśród znajomych zielony, wąski zeszycik, zwany „pelemele". W zeszycie tym wypisany był szereg najrozmaitszych pytań z różnych mniej lub więcej interesujących dziedzin życia. Odpowiadano dowolnie: zależnie od płci, wieku, usposobienia, zapatrywań. W odpowiedzi na pytanie: „Jakie jest twoje ulubione zajęcie?" — ośmioletnia wówczas Mirka napisała: „Najlepiej lubię siedzieć u tatusia na kolanach". Było to tak niedawno ,a jednak tak dawno... Teraz...

Parskała radosną niecierpliwością.

A matka zastanawiała się:

— Dzisiaj mamy czwartek — dobrze: jutro o 2-ej oddaję adwokatowi część maszynopisu, a w przyszłą środę — resztę. Czwartek zaś, dzieci, przyszły czwartek przeznaczam na wypoczynek i na dokazywanie z mojemi bachorami. Och, nie gorszcie się, że wasza matka jest taka lekkomyślna, bo od piątku zabieram się do manuskryptu profesora. To szczęściem niepilne.

Następnego dnia długo oczekiwano mamusi. Wreszcie przyszła — wiało od niej znużeniem i satysfakcją.

— Z panią Wagnerową załatwione. Jest rzeczywiście urocza i nie dziwię ci się, Mirko, że ją tak lubisz. Ale wyobraźcie sobie, że ten poczciwy mecenas zapłacił mi dzisiaj, a nie, jak zwykle, po całym „obstalunku" i to o 50 złotych więcej. Jeszcze kilka takich pięćdziesiątek, a mieszkanie — tuż. Prosił jednak zato o przyśpieszenie roboty, to jest, mam mu ją oddać w poniedziałek rano, na ósmą godzinę, a nie w środę, jak to było umówione. Trzeba będzie jeszcze trochę przysiedzieć falów, a zdążę i na ten termin. Więc, pa! Idę do pisania, tylko przynieś mi, Mirko, herbaty.

Zamknęła za sobą drzwi, gdy nagle...

— Jezus, Marja! — krzyknął ktoś ochrypłym, zmienionym głosem, który jakby przypominał kochany głos mamusi...

— Wpadli do drugiego pokoju. Matka z krwawemi wypiekami na pożółkłych policzkach wpatrywała się tępo w stoliczek, na którym zwykle stał remington. W obecnej chwili ten jakiś obcy, potwornie okaleczały przedmiot z powykrzywianemi klawiszami, z wklęśniętą tarczą blaszaną w niczem nie przypominał sprawnej maszyny do pisania — maszyny-pomocnicy, maszyny-przyjaciółki.

— Boże, Boże... Fasolko, to nie ty zrobiłaś?

— To ja — „odrzekło" dziecko poważnie.

— Zdzichu, nie bij jej. Jak mogłaś zrobić mamusi podobną krzywdę?

— To nie była zadna jakaś ksywwa ,tylko psyzekłam, że potłukę i potłukłam. Bo Mirka raz powiedziała, że zawse tseba robić, jak się coś psyzece i wzięłam młotek z kuchni i Józia posła tsepać i ja tu psysłam z młotkiem i mamusia juz nigdy nie będzie zmęcona i kupatywie nie tseba juz płacić, bo ja juz zawsze będę gzecną.

— Mamusiu, jeśli ja tego bachora zaraz nie wytłukę, to zwarjuję.

— No-o-o! — zaryczała niewinna grzesznica.

— Przestańcie mnie jeszcze bardziej denerwować. Tu trzeba radzić. Naprawa będzie masę kosztowała, zresztą ktoby się wogóle podjął i to na jutro. Trzeba pożyczyć maszyny. Kaziku, może z twego biura?

— Niepodobieństwo. Dziś popołudniu nikt na maszynach nie pracuje, a klucze od sali zabrał woźny, któremu dałem na cały wieczór zwolnienie.

— Co ja zrobię? Nie mogę — nie wolno mi zawieść mecenasa. Dziś mamy czwartek; nie — nie mogę czekać do jutra. I tak miałam z niedzieli na poniedziałek pisać całą noc. Tak już



sobie obliczyłam — tak sobie obliczyłam co do minuty... O, Boże, Boże!

— Mamusiu, mnie się zdaje, że rodzice Zosi Popiołkówny mają maszynę. Przynajmniej kilka tygodni temu słyszałam, jak ktoś stukał u nich... Teraz co prawda nie słyszę.

— Jeden z moich kolegów ma napewno, ale on mieszka aż w Wierzbnie.

— A więc każde z was pójdzie. A nuż jednemu nie uda się przynieść, w takim razie można liczyć na drugie. Do środy — wołała matka na schody za odchodzącymi.

Od 6-tej do 7-ej wskazówka idzie godzinę. Od 7-mej do 8-mej — dwie. Od 8-mej do 9-tej — cztery. Od 9-tej do 11-tej — rok.

Dziń.

— Uf, mamusiu, państwo Popiołkowie sami tę maszynę pożyczali, ale dali mi adres i bilecik do swoich kuzynów na Chmielnej, więc poszłam tam, ale nikogo nie zastałam. Wtedy przypomniałam sobie, że siostra Stefy ma maszynę. Owszem, ma, ale oddała do naprawy. Wreszcie udałam się do Heni, o której na śmierć zapomniałam, ale tam znów musiałam czekać na jej matkę, która zabrała kluczyk od maszyny. I oto jestem. Bardzo chętnie pożyczyły.

Dziń.

— Uf, maszyna jest? Bo i ja też przyniosłem. Pojechałem do Wierzbna, ale...

— Zdzichu drogi, jeśli opowiesz choć połowę tych perypetyj, jakie przeszła Mirka, to mi wystarczy... Dziękuję wam, poczciwe dzieciska. A teraz do roboty! Straciłam pięć godzin czasu.

— Mamusieńko! Nie pozwalamy. Prawda, tatusiu?

— Naturalnie, Marysiu, toby nie miało sensu. Już samo zdenerwowanie wyczerpało cię zupełnie, więc skąd weźmiesz siły na siedzenie w nocy? Proszę cię bardzo, idź spać, a ja cię jutro raniutko obudzę.

— Nie. Doprawdy nie mogę.

— Marysiu, proszę cię...

— Mamuśku, błagamy...

— No, dobrze, kładę się, tem bardziej, że naprawdę wszystkie kości mnie bolą.

Noc całą Mirka przewracała się z boku na bok. Gdy tylko zapadała w drzemkę, budziły ją stacatta ciężkich — poprzez gorączkowy sen wydawanych — westchnień mamusi... Majaczyły jej się pogięte klawisze remingtona, to znów proste, matowe szprychy lokomotywy, która jutro miała wieźć ją „w nieznane"... Kiedy wyczerpana zasnęła wreszcie, przyśniło jej się, że jedzie pociągiem w jakimś bardzo dziwnym wagonie. Ściany tego wagonu są szklane i przez przednią ścianę widać daleko na horyzoncie wieże, kopuły i ogrody jakiegoś nieznanego miasta. Raptem skądś bierze się śnieg... Jacyś ludzie, jakby Eskimosi, idą sznurem i biczują się wzajem. Asceza średniowieczna i tajemniczość wschodu zlewają się z sobą w tym niezwykłym grodzie. Przez ścianę boczną widzi Mirka pozostające w tyle stacyjki, zwykłe nowoczesne, banalne, szare stacyjki. Na każdej z nich stoi jedna jedyna postać, a wszystkie podobne jedna po drugiej. Tak, podobne... podobne... Dziewczyna męczy się ogromnie, bo nie wie, kogo jej przypomina każda z tych postaci... Ko-go? Ko-go? Ko-go? Ach! to mamusia. Taka smutna, znużona, bez kropli krwi w twarzy. Z wysiłkiem, jakby miała jakiś wielki ciężar uwiązany u przegubu, wznosi rękę, by dać znać, że niema żadnych przeszkód na drodze, że pociąg z Mirką może bezpiecznie iść dalej.

Mirka chce wysiąść, musi pochwycić, musi utulić tę rękę, dźwigającą się w bezmiernym trudzie. Ale pociąg pędzi dalej i dalej, ale koła nie chcą przestać się toczyć i stukają — tak nieznośnie ,tak obrzydliwie stukają...

Budzi się, lecz stukot nie ustaje. Otwiera nawpół przytomne oczy. Tak, to „postać z małej stacyjki" siedzi przy maszynie i pisze.

Mirka zrywa się z łóżka i biegnie ku matce. Tak, wypieki wczorajszego zdenerwowania ustąpiły miejsca żółtym plamom na policzkach: podsiniałe oczy, wyczerpane wypatrywaniem podkreślonych wyrazów, spoglądają zatroskane z ponad nieczytelnego rękopisu.

— Warjatko, przeziębisz się.

— Dobrze, mamusiu, ale... ja nie pojadę do Białowieży.

— Co się stało?!

— Bilet odstąpię Sobocińskiej z ósmej klasy — ona też chciała jechać, ale już nie było miejsca.

— Co to znaczy?!

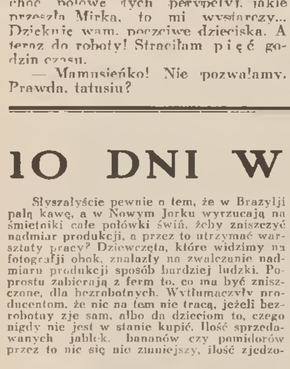
— To znaczy, mamuś, że postanowiłam nie jechać na tę głupią wycieczkę — to znaczy, że kazałabym sobie dać w skórę, gdybym pędziła w świat po wrażenia, podczas gdy ty tutaj wysilasz swoje najdroższe, chude ręczyny, żeby nam lepiej było... Mamy, chwała Bogu, dwie maszyny. Jak się zabierzemy „na cztery ręce" do roboty, to napewno za dwa dni skończymy! Tylko musisz mi pokazać, co po czem następuje, bo ten mecenas, zdaje się, niewyraźnie pisze...

— Córuś?!

— Tak, mamusiu. Wolę jechać na — remingtonie.

10 DNI W ŚWIECIE

Słyszałyście pewnie o tem, że w Brazylji palą kawę, a w Nowym Jorku wyrzucają na śmietniki całe połówki świń, żeby zniszczyć nadmiar produkcji, a przez to utrzymać warsztaty pracy? Dziewczęta, które widzimy na fotografji obok, znalazły na zwalczanie nadmiaru produkcji sposób bardziej ludzki. Poprostu zabierają z ferm to, co ma być zniszczone, dla bezrobotnych. Wytłumaczyły producentom, że nic na tem nie tracą, jeżeli bezrobotny zje sam, albo da dzieciom to, czego nigdy nie jest w stanie kupić. Ilość sprzedawanych jabłek, bananów czy pomidorów przez to nic się nie zmniejszy, ilość zjedzonych — zwiększy natomiast. Może, gdyby takich pomysłowych i dzielnych dziewcząt było więcej, świat wyglądałby inaczej!



Zabierają z ferm to, co ma być niszczone, dla bezrobotnych.

Pani Gast z Genervilliers woli być dobrą dla kotów, niż dla ludzi. Założyła dla nich przytułek i w „dzień dobroci dla zwierząt" wydaje im podwójne porcje żywności.

Dobroć dla zwierząt jest hasłem angielskiego „Towarzystwo Opieki nad Czteronogiemi Weteranami Wielkiej Wojny". Tym razem chodzi o konie. 20.000 koni wojskowych wysłano do Egiptu i — zapomniano o nich. Ale teraz zrobił się alarm, że koniom źle się dzieje: ciężko pracują. Są źle karmione — więc dawni towarzysze broni odkupują je zpowrotem i konie wracają na emeryturę do swojej mglistej, ale wdzięcznej ojczyzny.

Pisałyśmy w „Świecie Dziewcząt", że Niemcy powiększają swój stan posiadania przez osuszenie zatoki pod Friedrichstadt. Holendrzy wpadli na podobny pomysł już przed kilkunastu laty: po ukończeniu wielkiej grobli, Zyderzee przestało być zatoką i zamieniło się w żyzne łąki, upstrzone tylko niewielkiemi jeziorkami. Budowa tej grobli jest podobno rekordem szybkości i sprawności technicznej.

Rekord szybkości (pocztowej) pobito w Australji. List wysłany z Sidney o godzinie 8 zrana wręczono adresatowi w Brisbano tegoż dnia o godzinie 16 m. 30. „Tylko" 620 mil angielskich zrobiła ta koperta w ciągu 8 godzin i 30 minut! To już chyba — więcej niż „po amerykańsku".

Bardzo jednak amerykański jest pomysł Robinsona Steblera umieszczenia w Posągu Wolności, przy wjeździe do portu Nowojorskiego, głośnika, któryby witał okręty w ich rodzinnej mowie. Pomysł „udźwiękowienia" Posągu Wolności wydaje się Jankesom bardzo zabawny. My mniej się zachwycamy Wolnością — Brzuchomówcą...



Pani Gast woli być dobrą dla kotow, niż dla ludzi.

KULTURA I SZTUKA

ŚWIĘTO UMARŁYCH

Wśród świąt dorocznych, wśród zwyczajów przestrzeganych w każdej porze, obrzędy sprawowane na cześć zmarłych przodków przewijają się nicią, wiążącą przeszłość z teraźniejszością.

Od niepamiętnych czasów uznawały ludy kult zmarłych. W czasie świąt wiosennych czy jesiennych przyjmowano powracające na ten dzień dusze z tamtego świata, raczono je, zasługiwano się w rozmaity sposób, aby zabezpieczyć sobie ich pomoc i opiekę, a uniknąć prześladowania. Zwyczaje te pozostały jako tradycja po przyjęciu chrześcijaństwa.

Dla bliskich dusz, przebywających w nieznanych sferach, zostawianie bywa wolne miejsce przy stole wigilijnym, dla nich palą ognie, dla nich sypią okruchy święconego, oni biorą udział w każdej chwili życia rodzinnego.

Kościół katolicki, chociaż walczył z pozostałościami wierzeń pogańskich na drodze obyczajowej i ustawowej, w mądrości swojej ustanowił święto dnia zadusznego na początek listopada, w tym bowiem dniu odbywały się obrzędy zaduszne pogańskich ludów Europy Zachodniej.

Sądzę, że Czytelniczki „Świata Dziewcząt" interesują się, które z tych pogańskich obyczajów pozostały do dzisiaj, bo pozostało ich jeszcze wiele.

Najpospolitszym momentem obrzędowym, który przetrwał w całej bez mała Polsce, jest pieczenie dnia tego pieczywa i rozdawanie go na cmentarzu dziadom kościelnym, pod warunkiem odmówienia pacierza za dusze zmarłych.

Na Kurpiach niesie gospodarz do kościoła chleby wypieczone z ćwierci żyta, kaszę jaglaną i gryczaną, mięso gotowane, słoninę pokrajaną na kawałki, wszystko to rozdaje ubogim, zgromadzonym na cmentarzu, a sam modli się na grobach.

Na Mazowszu i Podlasiu składają podarki swemu proboszczowi za ołtarzem, więc kury, kogutki, gęsi, a nawet prosięta.

W Wileńskiem w czasie upominków za zmarłych gospodyni bierze miskę z jedzeniem, a odmówiwszy „Zdrowaś Marja", wylewa trochę w kąt, wymieniając imię zmarłego.

Przykładów możnaby mnożyć bardzo wiele i opisywać rodzaje pieczywa, które noszą różne nazwy, zależnie od okolicy. Są to kołacze, peretyczki, placki, tatarczuchy, podpłomyki, albo jak w Kieleckiem wprost „zaduszki".

Należy przypuszczać, iż wszystkie są pozostałością uczt, wyprawianych dla dusz zmarłych. Do dziś dnia przetrwały one, jako obiady urządzane ubogim.

Wierzenie, iż zmarły wraca tego dnia na ziemię, znalazło swój wyraz w wielu praktykach i podaniach.

Zobaczyć ponoć można nawet dusze zmarłych, podczas uczty w dzień Zaduszny, zaglądając z dworu przez okno, albo przez dziurkę od klucza, ale śmiałkowi takiemu grozi rychła śmierć. Znanym jest podanie o „łzach matusinych".

Pewna matka straciła córkę jedynaczkę, całą swą radość i nadzieję na przyszłość. Biedna kobieta tonęła we łzach i chociaż wiele lat minęło, rozpacz jej nie zmniejszała się wcale.



Któregoś roku została matka w kościele w dzień Zaduszny, aby zobaczyć swe dziecko, kiedy wszystkie dusze zmarłych schodzić się będą na nabożeństwo. Jakoż ujrzała ją, wynędzniałą, wycieńczoną, uginającą się pod ciężarem ogromnych konwi. Kiedy matka zapytała, co dziewczyna dźwiga tak ciężko, ta odparła, że to wylane za nią łzy matczyne, które nawet na tamtym świecie są największym ciężarem dla dziecka.

Inna legenda opowiada, iż w dzień Zaduszny, gdy wszyscy opuszczą cmentarz, przesuwają się po mogiłach Matka Boska, mały Jezus i Archanioł, niosąc w ręce duży worek złocisty. Który grób jest ciemny i opuszczony, anioł zapala na nim gwiazdy, a Matka Boska rzuca strzęp szaty błękitnej, z której wyrastają niezapominajki. Dzieci zmarłe przenosi anioł do grobów matek — wszyscy doznają pociechy...

Zdawałoby się, że te zwyczaje dziś tkwią tylko w pamięci starszych ludzi. Życie jednak uczy nas czego innego. Przejdźmy w dzień Zaduszny przez cmentarze po wsiach, miasteczkach, a nawet wielkich miastach, zobaczymy, co sprzedaja na straganach, jak się zachowują ludzie, odwiedzający groby, a odnajdziemy może resztki dawnych zwyczajów, trwające po dziś dzień w naszej kulturze.

„Świat Dziewcząt" prosi o nadsyłanie takich opisów do redakcji dla „Polskiego archiwum ludoznawczego".

S. Żółtowska.

ENCYKLOPEDJA ŚWIATA DZIEWCZĄT

25) **Si vis pacem, para bellum**, dosł., jeżeli chcecz pokoju, gotuj się do wojny. Wyrażenie łacińskie oznacza, że ten tylko może nie obawiać się wrogów, kto jest przygotowany na ich atak.

26) **Week end** — dosłownie koniec tygodnia. Wyrażenie angielskie. W Anglji urzędowanie kończy się w soboty wcześniej niż w inne dnie (stąd i nasza „angielska sobota") i każdy, kto może, wyjeżdża od soboty do poniedziałku za miasto. I u nas się mówi: wyjeżdżam na week-end.

27) **Tiens ta foy** — dosłownie dochowaj wiary. Wyrażenie staro-francuskie, oznacza przysięgę na wierność.

28) **En ami (en amie)** — dosłownie: w przyjaźni. Współczesne wyrażenie francuskie. Mówimy np., jestem z nią en amie.

29) **D. C.** Skrót od **da capo**, dosłownie: od początku. Wyrażenie włoskie spotykane często w muzyce. „Grać d. c." — znaczy od początku.

30) **Esq... esqr...** skrót od esquire. Dosłownie esquire, znaczy szlachcic po angielsku. Skrót ten jest często używany w powieściach angielskich.

NASZA OKŁADKA

Czy wiecie, że na miejscu sławnej bitwy o Olszynkę Grochowską stoi dziś krzyż? Ten krzyż widzicie dziś na okładce numeru Świata Dziewcząt, bo właśnie w Zaduszki należy pomyśleć chwilę o Tych, którzy zginęli tam, walcząc o Wolność. Lecz niechaj wspominki te nie mają nic z nuty smutku: krzyż Olszynki to dziś dla nas symbol radości, że oto zdobyliśmy wreszcie Niepodległość, o którą walczyły i dla której ginęły całe szeregi pokoleń.

Z. M.

ROZWIĄZANIE KONKURSU LITERACKIEGO

ŚWIATA DZIEWCZĄT

1) Mikołaj Rej — Rozmowa między Panem, Wójtem i Plebanem.

2) Juljusz Słowacki — Balladyna.

3) Henryk Sienkiewicz — Ogniem i Mieczem.

4) Bolesław Prus — Lalka.

5) Zofja Żurakowska — Roman i dziewiętnastu.

6) Kazimierz Wierzyński — Laur Olimpijski.

7) Felicja Kruszewska — Braciszek.

8) Adam Mickiewicz — Pan Tadeusz.

Listę nagrod[illegible] podamy w następ[illegible]merze.



ZOO



(Reportaż z Ogrodu Zoologicznego).

Różne bywają wizyty. upragnione i konieczne, sztywne i zabawne, przyjacielskie — no, takie z... nogami na tapczanie, a także takie, które się składa, bo „wypada”... bo „trzeba”, bo... „coś sobie pomyślą”... Słowem każdej wizycie inny odcień nada obowiązek towarzyski, inny — sentyment, a jeszcze inny — interes.

I różne bywają dnie. A kiedy ranek jest słoneczny i mglisty i, jak na październik, przesadnie ciepły — kiedy z mostu Kierbedzia po prawej stronie widzisz Wisłę, która nie ma dziś końca, i mgłę, a po lewej — mgłę i Wisłę, która nie ma końca... „wspomnij lato, które oto mija, chwile wieczorne, ranne i zielone drzewa. — Prawda zdarzeń, jak obraz skończony się zwija, a rzeczywistość inna w twojem sercu śpiewa”.

Kończy się hałaśliwy, rozdudniony wozami most Kierbedzia, rozpoczyna się Praga, jeszcze kilkadziesiąt kroków wzdłuż ulicy Zygmuntowskiej, jeszcze po lewej stronie ogród, jeszcze kilka sekund przez drogę za ogrodem i — nareszcie jestem z wizytą u „zwierzaków”!



Wysadzona drzewami główna aleja ciągnie się do końca Ogrodu Zoologicznego, ale wszystko przeważnie dzieje się w tem państwie po jej prawej stronie.

Właśnie z niewielkiego stawku za ogrodzeniem wylazi dziwny łabędź czarnoszyi. Wyciąga szyję i patrzy jakby mówił: „Cóż z tego, że na stałym gruncie wyglądam nieszczególnie? Cóż z tego, że przewalam się z boku na bok? Wolno mi, bowiem w wodzie jestem piękny”. Rzadkość obecnych czasów, przysłowiowo, ofiarny tłusty pelikan ze stoicyzmem wydziera sobie pierze z piersi. Zdaje się, że tym razem chodzi o... zwykłe trzebienie insektów. Jakąż jednak wielką wagę posiada gest! Nawet u tego zacnego, krótko-nogiego i przepastno-dzióbego gościa z dalekich krajów. Przeciwieństwa stykają się z sobą na tym świecie — słusznie więc, że w Zoo niezgrabne grubasy ocierają się o swojskie, szare czaple, stąpające na swych metrowych kończynach „z partesa”, a ostrożnie. — „Chodziła czapla po szerokiej desce — powiedzieć ci jeszcze”?. „Jesce” — odpowiada zwykle zaciekawiony brzdąc. Dorośli zaś pokpiwają sobie z naiwnego słuchacza i powtarzają ciągle w kółko tę samą bajeczkę. Tymczasem czapla ani podejrzewa, jaką intrygującą rolę każą jej odgrywać w prostym wierszyku, a tem mniej ani myśli spacerować po „szerokiej desce”. Tysiąc razy woli grunt błotnisty i brody pełne ryb. Właśnie w poszukiwaniu wybiegła na główną aleję, ale oczywiście zawiodła się. A dozorca zawraca ją z perswazją:



— No, Kubuś, no! Gdzieżeś ty wylazł?

Alejka na prawo prowadzi do ptaszarni. Cóż, kiedy po drodze wzywa nigdy nie syta foka. Na nieproporcjonalnie malutkich płetwich imitacjach nóżek taszczy z wody swój bezkształtny, obślizgły, płaski tułów i — wrzeszczy.

— Poproś państwa, poproś: państwo ci zafundują rybek — zachęca dozorca.

Ba! Czyż ją trzeba zachęcać? Już sam widok kilku osób koło barjerki działa na tę sprycjarę podniecająco, więc znowu wrzeszczy. Ale jak! Jest to głos dziecka skrzywdzonego niesprawiedliwie, a jednocześnie głos człowieka dorosłego, żywcem obdzieranego ze skóry. Więc „państwo”, choć podziwiali spożyte śniadanko — „fundują”. Cóż jednak znaczy te kilkanaście, czy kilkadziesiąt rybek dla biednego żarłoka z pod bieguna. Podobno wspaniale czuje się w zimie, kiedy może nurkować w przeręblu zamarzniętego stawku...

Znowu słychać krzyk. Ale tym razem groźny. To z „woljery”— dużej klatki drucianej, zamieszkałej przez ptaki drapieżne. Ponury, duży ptak, zw. mnichem, rzuca się właśnie zakrzywionym dziobem na kawałek surowego mięsa i kracze zwycięsko... Przestrzeń i warunki woljery pozwalają jemu i jego towarzyszom swobodnie fruwać. Więc sęp, łomocąc ciężkiemi skrzydłami, poleciał na gałąź, a olbrzymi orzeł, wpijając ostre szpony w skałę, usadowił się na samym jej szczycie.

Odwracam się od drapieżników i — obraz jawiący się niespodzianie każe mi przymknąć oczy z przesądnej obawy, że zniknie, że coś się stanie i nie zobaczę więcej tego cudnego złudzenia... Ale — nie. Jest.

Okolony rabatkami „lwich pyszczków” i begonij wznosi się okrągły basen — a z niego, z wody strzeliście wykwita żywa, biało-różowa bajka. Bieli się w słońcu jesiennem rozpościeranemi skrzydłami, różowi i czerwieni plamami na jasnych piórach: wygina się i przechyla tysiącem ruchów od niechcenia — i niewiedząca o sobie — o swojej piękności — przegląda się w wodzie, skąd wyszła, gdzie ledwie nurza stopy. Podwójna bajka.

To flamingi-czerwonaki.

Powinowaci z południa i wschodu naszych czapli i bocianów, brodzą zbite w gromadkę po płytkiej przestrzeni basenu, jak po talerzu.

W domku-ptaszarni cichy gwar i... trochę niemiłego zapachu. Środek wnętrza zajmuje długi stół z klatkami. U przeciwległej drzwiom ściany małe huśtawki na łańcuszkach. To asilum ptaków egzotycznych i papug, reprezentowanych przez najróżnorodniejsze odmiany. Te wielkie, jak ciemno - liljowa ara hiacyntowa, arakanga, kakadu, kołyszą się swobodnie na drążkach trapezów. Te mniejsze, a nawet całkiem miniaturowe, jak prześliczne papużki faliste, kastanotis maleńkie, jak zabawki, tulą się do siebie po klatkach. A wszystkie: i te zielono-seledynowe i perłowo-błękitne i ciemno-śliwkowe i karminowo-złociste świegocą i zcicha szumią. Kakadu żółto-czuba przedstawia się ni stąd ni zowąd: „Homek, Homek”, ale na czyjeś „dzieńdobry” — mówi gardłowo „Aha-ha”. Trzeba bardzo dobrej woli, aby to rozumieć, jako... „dzień dobry”.

Powstaje nagle jakiś ruch i ogólne zainteresowanie. Dozorcy się gromadzą, nachylają ku stworzeniu wielkości 8-letniego dziecka i mówią pieszczotliwie:

— Lusia idzie na spacer Na spa-a-cer. Na spa-ce-erek.

To szympansica, ubrana w barchanowy niebieski kombinezon, ufnie czepiająca się obiema „rękami" swego opiekuna, maszeruje na dwóch nogach na przechadzkę. Zaciekawia ją jakiś patyk, schyla się, podnosi i odrzuca: potem patrzy pytająco w oczy przewodnika:

— Ładna Lusia, ładna!

(Hajty, dzidzi! Cacy, dzidzi!).

Cóż dziwnego: przecież to jedynaczka naszego Zoo, a wogóle rzadki już okaz na świecie.

Rozpieszczone to „dziecię" dzieli swój apartament z — aligatorem. Alez nie... niema tu żadnego niebezpieczeństwa. Bowiem potworna jaszczurka spoczywa w odrutowanem, kamiennem korycie. Ogrzewana żarówką, leży w wodzie i kłapie straszliwie uzębioną paszczą. Przyglądam się; napewno nie ma 2-ch metrów. Zastanawia mnie to.

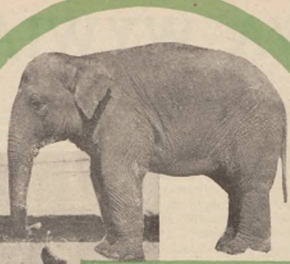
— On jeszcze bardzo młody. Aligatory żyją 100 lat, a ten ma 20 — mówi dozorca.

— To rzeczywiście — smarkacz — myślę sobie.

— Najdłuzsze sięgają 4 i pół metra.

Okazuje się, że wszelkie większe pomieszczenia dla zwierząt na dworze, odgrodzone murem, nazywają się „wybiegiem". W takim wybiegu bawi się gromada małych małpek zw. rezusami. Za zwinne są zresztą i za ruchliwe, aby im wystarczyło to jedyne ogrodzenie: plażę ich od muru oddziela jeszcze rodzaj wypełnionej wodą fosy. Wśród kozłów i łamańców hycają z jednego drzewa na drugie, wydają jakieś trzeszczące piski, a wszystko z minami nader tragicznemi, które nie opuszczają ich nigdy. Nawet przy łapczywem chwytaniu poczęstunków od gości, nawet przy wymierzaniu wzajem sprawiedliwości popędliwemi łapkami, nawet przy... zbyt szczegółowem robieniu toalety... A, bo małpki to higjenistki pierwszej wody! Czesze jedna drugą, potem druga — trzecią, potem trzecia — piątą i dziesiątą.

Gdyby to bractwo widziało, jak niedaleko sąsiaduje ze lwem, pumą i tygrysem!







Tygrys, olbrzymi pięknie pręgowany kot, ociera się o pręty klatki w jednostajnym, niecierpliwym spacerze: tam i zpowrotem, tam i z powrotem. Towarzyszka jego tak samo. Z pod prostokątnego czoła nad trójkątnym, mądrym pyskiem patrzą niesamowicie zielone oczy...

Lew jest spokojny. Nie „potrząsa dumnie grzywą" — jak to się zwykło czytać w szanujących się powieściach — ale zachowuje całą swą godność. Tak wobec publiczności, jak wobec gładkolicej małżonki, jako też wobec lwiej młodzieży.

Znowu wybieg. Tu olbrzymieją dwa słonie: 19-letnia Kasia i 9-letni Jaś. Buraki, marchew, jabłka znikają, niesione trąbą na śpiczastą, dolną wargę.

— Ona jest dobra, ale on bardzo złośliwy — skarży się dozorca — muszę ciągle odpędzać, bo łamie dach swego domu.

— A jak długo żyją słonie?

— Podobno przeszło 200 lat.

— E, to można przebaczyć temu... niemowlęciu.

Słyszę za sobą głośne liczenie.

— Ty masz 15, a ja 30, to razem 45. Szkoda.

— Czekaj, czekaj, mam jeszcze 5.

— To pysznie! Możemy się przejechać. Tylko, czy on się tak zgodzi, żebyś jechał w jedną, a ja drugą stronę za jednym biletem?

Dwaj drugoklasiści obliczają wspólne finanse na przejażdżkę na lamie. Bo przyjemność ta, trwająca do końca alei i zpowrotem, kosztuje aż 30 groszy. Chłopcy rozpoczynają pertraktacje, a dozorca, trzymający za uzdę białą, osiodłaną lamę, zgadza się chętnie. Zdobny w długi, obficie spadający włos, ten czworonóg z Peru, choć z rodziny wielbłądów, nie ma garbu i nie przewyższa wzrostem stukilkunastu centymetrów. Posiada zato nieprawdopodobnie cudne oczy i — może dlatego stroi dziwnie wzgardliwe i wyniosłe miny. I... tyle radości daje amatorom przejażdżki

Szarzeje wypłowiały modrzak, złoci się i pachnie (ach, jak pachnie!) miodownik, a gdzieś słychać proszące mruczenie. To niedźwiedź brunatny stanął na dwóch łapach przy kracie i przymila się o przysmaki. Dostał bułkę z miodem, wziął lekko, ostrożnie i zajada. Ach, jak smakuje! Mniarr, mniarrr! Od naszego kochanego łakomczucha nie różni się w gustach drugi miś, niedźwiedź malajski. Pysk ma bardziej śpiczasty, sierść krótkowłosą i jest czarny. Tylko na podgardlu żółci mu się jasny, szeroki krawat.

— Czy panowie zawsze dają sobie radę ze swymi wychowańcami? — pytam dozorcy.

— Przeważnie, proszę pani. Zwierzę najpierw musi się przyzwyczaić, a po drugie musi wiedzieć, że się je lubi. Czasem, czasem... trzeba uderzyć, ale to już w najgorszym razie i musi wiedzieć za co. Ale zawsze lepiej nie bić.

O, tak, każde zwierzę musi wiedzieć o tem, że się je lubi, i pasiasta zebra i dingo, płowy pies australijski i wygrzewający się w słońcu przemiły kangur i miniaturowa kurka japońska i biało nakrapiany, smukłonogi czytal, kuzyn jelenia, nawet szakal czaprakowaty, nawet obojętne, opasłe, świńsko - ryje karibu, nawet puszczyk, czy żmija.

Snuje się babie lato. Jest niebiesko i szaro i słonecznie. Jest bezszelestnie i świegocąco i wrzaskliwie.

Jest — miło.

Patrzę na zegarek. Co to, południe?! Niemożliwe!! A jednak — tak.

Cały ranek z wizytą u „zwierzątków". I niech mi się kto pochwali, że milej spędził kilka godzin — w towarzystwie...

Nie wierzę.

A. Gadomska.



DWA WYWIADY

(Zamiast feljetonu...)

Wielkie audytorjum imienia Smoleńskiego. Na sali panuje hałas i gwar rozmów — to rozpoczęła się przerwa między wykładami. Niby pociski przelatują urywane fragmenty i zdania które łączą się z sobą i krzyżują w sposób fantastyczny.

.....zapisał się kolega do Towarzystwa Przyjaciół Francji? zapytuje grupa studentów nowicjusza.

...Chodźmy po wykładzie do ogrodu... brzmi niespodziewana odpowiedź z sąsiedniej ławki.

...Chciałbym się dowiedzieć, czy z profesorem Tatarkiewiczem...

...pójdziemy dzisiaj do kina na „Kawalkadę"... kończą rozmowę dwie przyjaciółki.

Na pierwszej ławce, tuż obok katedry odnajduję dwie studentki, z któremi pragnęłam mieć wywiad. Ich sąsiedztwo wydaje się najzupełniej przypadkowe. Choć obie są słuchaczkami tego samego wydziału, jednak nie znają się zupełnie. Nawet nie wiedzą, że noszą to samo imię Krysi... Na niewielkiej przestrzeni jednej ławki tworzą dwa odrębne światy oddzielone od siebie murem nie mniejszym od tego, który oddziela dziecko szczęścia od niedoli. A mimo to są do siebie podobne... Jednakowy zapał, umiłowanie studiowanych przedmiotów przebija z obu twarzy.

Rozpoczynam interview od Krysi Nr. 1. Zgrabna, ubrana, według ostatniej mody postać Krysi Nr. 1 zwraca uwagę i przykuwa wzrok każdego. Także mnie wydaje się skromnie ubrana, choć niemniej miłą, jej druga imienniczka!!

„Dzień dobry, panno Krysiu"!

„Dzień dobry". Pewny ruch ślicznie ondulowanej główki i uśmiech na bronzowo opalonej buzi. „To jeszcze z lata, z wywczasów w Jastarni"... Panna Krysia jest zajęta żmudnem przytwierdzaniem małej czerwonej czapeczki, która zdradza ciągle tendencje do zsuwania. Jednocześnie z rozłożonego brulionu powtarza ostatnią regułę gramatyczną: „on forme le parfait"...

„Więc pani w dalszym ciągu studjuje romanistykę"?

Torebka, wstrząśnięta gwałtownym ruchem, straciła równowagę i znalazła się na podłodze. Zeszyt i pióro podzieliły również jej los.

.....Trzydziesty piąty raz! trzydziesty piąty!!!" wykrzykuje panna Krysia.

?!!?!

Widząc moje zdumione spojrzenie, dodaje tonem objaśnienia:

.....Bo proszę Pani... Pytanie, które mi pani zadała, słyszę z ust prawie wszystkich moich znajomych! Jakto, młoda, zamożna panna dobrowolnie zakopana wśród stert ksiąg i gramatyk? Ależ to niemożliwe!!"

„Moje dążenia do zdobycia wiedzy są traktowane jak przelotny kaprys znudzonej księżniczki. Ale w tych dniach spotkała mnie wielka radość".

„Zdała pani egzamin"?

„Ta przeprawa czeka mnie dopiero w najbliższej przyszłości. Ale spełniło się moje pragnienie, o którem marzyłam przeszło od roku. Dostanę posadę w ambasadzie francuskiej! Cóż to będzie za znakomita praktyka i uzupełnienie mojej nauki!".

„Jednak zarobkowa praca jest pani zupełnie niepotrzebna. Warunków, w jakich się pani znajduje, każda studentka może pozazdrościć".

„Praca zarobkowa" — powtarza panna Krysia.

„Czy majątek moich rodziców koniecznie musi stać się tamą, broniącą dostępu do pracy, która stanowi największą radość?".

Na to zagadnienie nie znalazłam odpowiedzi ani ja, ani rozkrzyczane mury białej sali.

Milczenie...

Niespodziewanie z pośród tłumu wyłoniła się postać znajomej studentki. Więc nie chcę byś niedyskretną i uciekam do wywiadu z Krysią Nr. 2. Zastaję ją pochyloną nad kartką papieru, na której wyrastają długim szeregiem liczne cyfry, znaki dodawania i odejmowania.

— „Matematyka kwitnie na wydziale humanistycznym" — zaczynam rozmowę.

„To jeszcze trudniejsze od zadań matematycznych" — tłumaczy panna Krysia Nr. 2. „Obliczam jak ułożyć mój budżet miesięczny, aby suma 60 złotych starczyła na utrzymanie, ubranie, zapłacenie mieszkania i czesnego".

„Ależ to obliczenie godne kwadratury koła!".

„Tak, i pewnie dlatego nic mi z niego nie wypada" — wzdycha żałośnie panna Krysia.

„Czy nie dostaje pani pomocy z domu?".

„Najmniejszej. Sama muszę zdobywać wyższe wykształcenie. Mam 2 godziny korepetycji dziennie, płatne po złotówce a niektóre po półtora, które mi przynoszą ową sumę 50 złotych miesięcznie. Mieszkam w domu Akademickim, przy ulicy Górnośląskiej. Pokój dzielę z trzema przyjaciółkami, za który każda z nas płaci po dziesięć złotych. Trochę jest ciasno i niewygodnie, zwłaszcza w porze przedegzaminowej, ale w nagrodę takie współżycie zbliża nas bardzo do siebie. Tylko dzięki temu możemy się utrzymać w Warszawie".

„Gdzie się pani stołuje?".

„Same gotujemy na maszynce spirytusowej. Co tydzień każda obejmuje dyżur i wówczas do niej należą wszelkie gastronomiczne starania".

„A jak pani rozwiązuje kwestję ubraniową?"

Twarzyczka panny Krysi promienieje radośnie: „Jedna z moich współlokatorek zna wspaniale krój a druga jest szczęśliwą właścicielką maszyny do szycia. Materjał można dostać bardzo tanio na raty i oto jest wynik naszej wspólnej pracy". Tu panna Krysia z dumą prezentuje swoją niebieską sukienkę, której zręczny krój i fason niczem nie zdradzają rąk domorosłych krawcowych.

„Tylko buty i te ciągłe zelowanie stanowią wielką lukę w mojej kasie. Bo przecież o tramwajach mowy być nie może, a codzienny kurs z Górnośląskiej do uniwersytetu splata się z lekcjami, z których jedna jest na uli-

„Jak się przedstawia sprawa płacy Topolowej a druga na Pradze".

cenia wpisu?".

„Oh, to jest najgorsze! Przy największej całorocznej oszczędności nie zbiorę nawet na jedną ratę czesnego".

„Może Tow. Bratniej Pomocy udzieli pani zapomogi?".

„W ubiegłych latach Bratnia Pomoc płaciła za mnie czesne. Obecnie z powodu podwyższenia opłaty, Towarzystwo jest tak zasypane prośbami, że nie wiem, czy moja zostanie uwzględniona. Jedyna nadzieja może w tem, że jako studentce romanistyki, znającej dobrze język francuski, obiecują mi na wakacje posadę w ambasadzie. Mogłabym więc na ten rachunek zaciągnąć niewielki dług... Ale dowiedziałam się niedawno, że oprócz mnie jest jeszcze kilka innych kandydatek. Jeżeli nie dostanę tego zajęcia, trzy lata mojej pracy mogą pójść na marne. A dzieli mnie tylko rok od dyplomu" - kończy smutnie panna Krysia i zamyśla się ponuro.

Wejście profesora kładzie kres przerwie i moim wywiadom.

Opuszczam spiesznie salę, ale jeszcze na progu rzucam spojrzenie na dwie tak bliskie i tak zarazem sobie dalekie głowy dziewczęce. I nad tą ubraną w ponsowy beret i nad tą smutnie pochyloną zawisa to samo pytanie:

Która z nich otrzyma posadę?..

Hanna Muszyńska

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Szarada.

W trwodze żyła austrjacka stolica,
A z nią kraj cały nękany waśniami.
Raz otomańskiego cień półksiężyca
Jak **szósty** się błąkał między Alpami.
I wciąż bliżej, **dwa wspak** bliżej Wiednia bram
Ósmych — dziewiątych nieprzejrzane masy
A **pięć** pomoc lecą posły tu i tam.
O — **sześć** wojsk opisując obcej rasy.
Ale z odsieczą iść nikt nie chciał prawie:
Więc byłby w Wiedniu już **mina — wspak trzeci**,
Gdyby nie **czwarty**, co chrześcijaństwa sprawie
Był oddany. — Sęp, gdy na ptaki zleci,
Uderza tak, jak Jan Trzeci Sobieski,
Co z Kahlenbergu na wroga uderzył;
Pierwszy chciał widocznie **czwarty** niebieski,
By w polski oręż **siedem-ły** świat wierzył...

SZARADA.

„Disce puer"...

Każdy z nas, kto chce być sławnym
Cztery torem starym, dawnym
Pięć oświatę musi ruszyć
I swej głowy dość naruszyć.
Trzeci — czwarty, czy też inny
Z filozofów nie mniej czynny
Musi być nam przewodnikiem
Pięć tem dla nas polu dzikiem.
A gdy **pierwsza — druga — trzecia**
Z nami będzie **cztery** w świecie
Wszystko **ósmy** ten otworzy,
Bo się każdy przed nim korzy.
Czwarte — siódme będą nasze
A dostojeństw pełne czasze
Nam świat tylko da w ofierze
I **pięć — sześć — pi** głupców szczerze.

„Anita" (Warszawa).

TEATR

Wydarzeniem teatralnem zazwyczaj nazywa się sztukę, która czy tematem, czy poruszonemi w niej zagadnieniami, wznieca burzę dyskusyj, niemilknącą często nawet już po zdjęciu sztuki z afisza.

Nie chodzi tu nawet tylko o wartość literacką danego utworu, ale właśnie o to coś, co poruszy umysły i zmusi je do zajęcia się problemem, o który chodziło autorowi.

Takiemi wydarzeniami teatralnemi były w swoim czasie wystawiane w Polsce sztuki włoskiego pisarza Pirandella, którego imię łączy się już dziś z pojęciem pewnej szkoły pisarskiej.

Takiem wydarzeniem jest każda sztuka Shakespeare'a, Wyspiańskiego, Żeromskiego, Fredry (Sięgamy tu do kategoryj najwyższych!), wydarzeniami też w pewnej mierze były ostatnio dwie sztuki, któremi teatry — Polski i Narodowy rozpoczęły sezon: Stanisławy Przybyszewskiej „Sprawa Dantona" i Roztworowskiego — „U mety".

„Sprawa Dantona" jest przedewszystkiem widowiskiem niesłychanie barwnem. Epoka, w której rozwija się akcja, Wielka Rewolucja Francuska, sama przez się bogactwem swoich motywów wewnętrznych umożliwiła podniesienie wartości minimalnych, zaklętych w piękno ówczesnych strojów, urządzenia wnętrz, które przecież tak bliskie są jeszcze wytwornych salonów mieszczańskich. Tylko że dawni pudrowani markizowie zeszli już z widowni życia, ich miejsce zajął tłum sankjulotów, i z pomiędzy tego tłumu wyrosłe ponad ich głowy, wybitne indywidualności ludzkie — przywódcy. Miała ich Wielka Rewolucja wielu, i Stanisława Przybyszewska na bohaterów swej sztuki wybrała jednak dwóch najwybitniejszych: Robespierre'a i Dantona. Walka ich, to pozorna treść sztuki, jeśli zechcemy ją ująć realistycznie. Istotą jej będzie jednak głęboki symbolizm, który każe nam na Dantona patrzeć, jako na „bestję ludzką", na Robespierre'a zaś, jak na „zimny rozum".

Który z nich ma przewagę, niewiadomo, bo choć Danton ginie pod gilotyną, Robespierre sam zdaje sobie sprawę, że jako dusza tłumu, nie zginie on nigdy.

Również nie możemy sobie zdać sprawy, który z nich ma rację. Autorka czujnie stoi na straży swej bezstronności i przynajmniej pozornie trzyma się ram reportażu. Pozornie, gdyż reportaż musi uwzględniać tylko same fakty, a autorka całą sztukę ubarwiła sporą ilością anegdot, która zamazuje granice reportażu, a nie dociąga do wymagań sztuki psychicznej. Jest to



raczej typowa piece a these — czyli sztuka, której końcem jest pewne zagadnienie.

Przybyszewska swoje zagadnienie postawiła bardzo mocno, ponieważ jednak nie czuje dobrze teatru, wplotła je w nieskończony szereg djalogów. Jest to najbardziej zasadniczy zarzut. jaki można podnieść w stosunku do „Sprawy Dantona" i sztuka może nawet wypadłaby nieco blado, gdyby, nie doskonała gra aktorów, na czoło których wybił się Junosza Stępowski, Samborski, Kreczmar i pełna uroku Nina Świerczewska.

„U Mety". Roztworowskiego jest tak zwaną sztuką mieszczańską. Konflikt zawiązany i rozwinięty na terenie rodziny. jej wymagań i przesądów u Rostworowskiego urasta do rozmiarów tragedji, takiej poprostu starogreckiej Nemezis. która za winy ojców każe cierpieć dzieciom. choćby z całych sił broniły się przeciw okrutnemu losowi.

Żeby zrozumieć tragedję profesora Franciszka Szywalskiego. koniecznie trzeba się cofnąć do dawniejszych czasów. kiedy wystawiał go początek wielkiej scenicznej trylogji Rostworowskiego. Były to sztuki — Niespodzianka i Przeprowadzka.

Niespodzianka to historja nędznej rodziny chłopskiej. złożonej z ojca, matki i dwojga dzieci — Franka i Zośki. Był jeszcze jeden syn, najstarszy, ale wywędrował do Ameryki i ślad po nim zaginął.

Pewnej nocy jesiennej pod dach Szywałów zawędrował podróżny. Stara Szywałowa wypatrzyła. że ma portfel pełen dolarów. Gdy podróżny ułożył się na spoczynek, oboje Szywałowie mordują go siekierą, aby dla swego ukochanego jedynaka, Franka, zdobyć grosze na naukę. Tragiczny epilog sztuki wyjaśnia, że tajemniczym podróżnikiem był ich najstarszy syn.

Przeprowadzka jest opowieścią o dalszych losach Franka i Zośki. którzy po śmierci obłąkanej z rozpaczy matki i uwięzionego ojca, wyruszają do miasta. Franek pracuje przy mularzach, ale słaby charakter nie pozwala mu się wydobyć z dna nędzy i występku. Dopiero oddany towarzysz i przyjaciel. Felek, podaje Frankowi pomocną dłoń, pomaga mu żyć i kształcić się. aż wreszcie Franek kończy uniwersytet.

W sztuce — „U mety" — mamy już do czynienia z panem profesorem Franciszkiem Szywalskim. Jest on już u mety w swojej życiowej karjerze, i dziś właśnie ma się odbyć jego ślub z piękną panną Ludką Cimkiewiczówną. Ale oto powstają upiory przeszłości, i zjawiają się. aby ogłosić światu. że profesor Franciszek Szywalski, to zwyczajny Szywała. syn zbrodniarzy. Nie to. że Cimkiewiczówna stała się jednocześnie Cimkówną, a jej drogocenne szmatki. jak się okazały. pochodzą z niezupełnie uczciwego źródła. Ni c to. że ona sama. Ludka. na którą ojciec i narzeczony patrzyli. jak na biały kwiat, okazała się prostą i zepsutą dziewczyną.

Węzeł tragiczny tak mocno się zacieśnił koło szyi Franka. że może go rozpłątać jedynie śmierć.

Plotki krakowskich kumoszek. oto jedyne echo. jakie zostało po profesorze Szywalskim na scenie. Echo jednak tej sztuki rozeszło się bardzo daleko, wywołało wiele dyskusyj. komentarzy i sprzeciwów. Jednego tylko nikt zaprzeczyć nie może: że Rostworowski ma niezwykły rozmach sceniczny. i choć może sama teza — odpowiedzialność za grzechy ojców i... za sferę z jakiej się wyszło — jest napewno w obecnych czasach nieaktualna. jednak podanie jej widzowi jest tak żywe i precyzyjne, że ten zarzut przychodzi dopiero znacznie później. gdy już nie panuje nad nami fala wzruszenia.

Do tego wzruszenia bardzo przyczynili się artyści. którzy dali koncert gry scenicznej: Solski. Hnydziński, Dominiak — oto nazwiska, wybijające się na pierwszy plan.

Trylogja nie jest pierwszym utworem scenicznym Rostworowskiego. Pisarz ten, odznaczony niedawno Państwową Nagrodą Literacką. ma za sobą cały szereg sztuk. jak Judasz. Kaligula. Straszne dzieci, które dały Rostworowskiemu tytuł jednego z najwybitniejszych dramatopisarzy polskich.

Z. M.

TWORZYMY POLSKĘ

Nowa Tymczasowa Ustawa Samorządowa

Od listopada r. b. począwszy, a do marca r. p. włącznie odbędą się w całej Polsce wybory do samorządów wiejskich i miejskich, oparte na Nowej Tymczasowej Ustawie Samorządowej.

Ustawa ta wprowadza na wszystkich ziemiach polskich jednolity ustrój samorządowy, dostosowany do potrzeb ludności i potrzeb państwa. Jest więc wielkim krokiem naprzód w dziele tworzenia nowej Polski, bo zaciera różnice dzielnicowe. które pozostały po zaborcach, i uzgadnia interesy obywateli z interesami państwa.

Według nowej ustawy prawo wyborcze do samorządów mają wszyscy mężczyźni i kobiety bez różnicy narodowości i wyznania. którzy od roku mieszkają w danej miejscowości i nie stracili prawa wyborczego do Sejmu.

Rok mieszkania nie jest jednak jedynym warunkiem do posiadania prawa wyborczego. Trzeba mieć jeszcze odpowiedni wiek.

Do tego, żeby być wybranym (prawo bierne), trzeba mieć skończonych lat 30 i. jeżeli chodzi o odpowiedzialne czynności, posiadać wykształcenie fachowe. Prawo wyborcze czynne (prawo wybierania), przysługuje już w 24 roku życia .

W dawnych ustawach wystarczał wiek lat 21. ale miało to tę złą stronę. że odsuwało od wyborów wszystkich mężczyzn, odsługujących powinność wojskową w czasie wyborów do samorządów.

Najmniejszą komórką nowego ustroju samorządowego jest gromada, to znaczy wieś, osada, kolonja lub miasteczko. liczące przynajmniej 200 mieszkańców. Gromady łączą się w gminy, gminy tworzą powiaty, a powiaty — województwa.

Gromada wybiera na 5 lat Radę Gromadzką. złożoną z sołtysa, podsołtysa i radnych. Do Rady Gromadzkiej należą: szkoły. domy ludowe, ośrodki zdrowia, brukowanie ulic, ochrona przed pożarem. W ten sposób Rada Gromadzka przejmuje częściowo obowiązki dawnej gminy, która. jeżeli była zbyt odległa, nie mogła dbać o dobro i interesy każdej wsi czy kolonji.

Kilka gromad łączy się w gminę. Gminy nie obejmują jednakowych obszarów i łączą w sobie tylko te gromady. które mają wspólne interesy. Na czele gminy stoi Rada Gminna. złożona z wójta, podwójciego i trzech radnych. Rada Gminna. oprócz tego że jest jakby wyższą Radą Gromadzką, wykonuje niektóre obowiązki. nakładane przez państwo, to znaczy ściąganie podatków. pobór rekrutów i wykonywanie wyroków sądowych.

Każda gmina deleguje dwóch swoich przedstawicieli do Rady Powiatowej Sejmiku.

Nowa ustawa nie wprowadza zmian do Rady Powiatowej, i nie wprowadza również w życie Samorządu Wojewódzkiego. Nie reguluje też skarbowości samorządowej, a to dlatego. żeby przez zbytni pośpiech państwo nie mogło cofać swoich niektórych zarządzeń. jak to czynią inne państwa europejskie.

Wybory samorządowe do miast są trochę inne. tak zwane pięcioprzymiotnikowe. to znaczy powszechne. równe, tajne, bezpośrednie i stosunkowe. Każdy wyborca do samorządu miejskiego rozporządza tylu głosami. ile radnych wybiera dany okrąg wyborczy. Te wszystkie głosy wyborca może oddać na jednego kandydata, albo podzielić je między kilku kandydatów. umieszczonych na jednej liście wyborczej.

Jest to reforma bardzo znamienna. bo dotychczas głosowało się na całe listy, a przecież mogły być na nich nazwiska, do których nie mamy zaufania.

Wprowadzenie w życie Nowej Tymczasowej Ustawy Samorządowej przyczyni się znakomicie do usunięcia bolączek i wad. pozostawionych przez rządy zaborcze. gdyż hasłem Nowej Ustawy jest współpraca społeczeństwa i państwa dla dobra każdego obywatela i całego kraju.

Jadwiga Zieleńczykówna
mgr. praw.

ROK POLARNY I WYPRAWA POLSKA NA WYSPĘ NIEDŹWIEDZIĄ





(Dalszy ciąg)

Niemniej jako teren badań naukowych Björnoya ma pierwszorzędne znaczenie. Sprawdzmy jej położenie: 74°30 płn. szerokości i 19° wsch. długości. Ponieważ większość zagadnień z dziedziny geomagnetologji (magnetyzmu ziemskiego) i meteorologji koncentruje się w pasie między 60° i 80° szerokości płn. — trudno o lepsze położenie.

To też roczny pobyt na wyspie przyniósł naszym uczonym obfity plon naukowy. Całkowity jego dorobek będzie miał dopiero prawdziwą wartość w zestawieniu z dorobkiem innych wypraw polarnych. Trzeba też około pięciu miesięcy, żeby się w przywiezionym materjale rozejrzeć i uporządkować go należycie.

Uzyskawszy u kierownika wyprawy, inż. Centkiewicza, tak dla mnie cenny wywiad, pytam raczej o rzeczy ogólne, takie, które interesować mogą „Świat Dziewcząt".

— Na czem polegala praca polskiej ekspedycji?

— Praca ta obejmowała kilka dziedzin: a więc przedewszystkiem badania magnetyzmu ziemskiego, następnie zjawisk meteorologicznych, w szczególności prądów polarnych, atakujących Europę w zimie i na wiosnę. Badanie elektryczności atmosferycznej zapomocą atmoradjografu i wreszcie obserwacje Zorzy Polarnej.

— Czy zadowoleni są panowie z wyników?

— Tak, rezultaty osiągnęliśmy znaczne. Opracowane i wydrukowane zostaną dopiero za 5 — 6 miesięcy. Przytem trzeba zaznaczyć, że Polska postara się ogłosić je wcześniej od innych państw.

— Czy dużo państw poza Polską organizowało wyprawy polarne?

— Około czterdziestu — wszystkie wchodzące w skład Roku Polarnego. Przytem cały szereg wypraw wykonywał podobne prace, gdyż tylko przez porównanie analogicznych i równoległych badań można otrzymać względnie pewne wyniki. Właśnie największą wadą pierwszego Roku Polarnego było to, że ekspedycje pracowały każda na swoją rękę. Mimo, że osiągnięto wiele ciekawych rezultatów naukowych, nie przedstawiają one wartości z powodu niemożności sprawdzenia ich.

— Czy badania odbywały się w ściśle oznaczonych godzinach, według ustalonego porządku?

— Zasadniczo tak. Jednakże często zachodziła konieczność wykonywania pewnych obserwacyj przez dłuższy czas bez przerwy. Np. Zorza Polarna widoczna była na Björnöya w ciągu 14 godzin. Oczywiście czas ten w zupełności musieliśmy poświęcić badaniom, mowy nie mogło być wtedy o odpoczynku.

— Czy mógłby mi pan opowiedzieć, jak wygląda Zorza Polarna?

— Stanowczo nie potrafię. Kto nie widział tego zjawiska, ten nie zdoła go sobie wyobrazić, nawet przy pomocy zdjęć fotograficznych czy filmowych. Fotografja odda chwilowy kształt, film uwydatni ruch, a nic ani nikt nie zdoła odmalować niesłychanego bogactwa barw, bajecznej gry kolorów, spotęgowanej jeszcze przez nieustanny ruch i zmianę formy.

— A jak przedstawiała się strona gospodarcza życia na Björnöya?

— Nieświetnie. Żywiliśmy się głównie konserwami. Nawiasem mówiąc, charakterystyczną cechą tych konserw było, że przy przeróżnych nazwach posiadały dokładnie ten sam smak. Zresztą staraliśmy się urozmaicać sobie „menu" własnemi siłami. Polowało się na ptactwo, podbierało się jaja. Obowiązek przyrządzania posiłków i wszelkie inne funkcje, związane z prowadzeniem gospodarstwa domowego, spełnialiśmy kolejno, każdy co 3 dni. Oczywiście pod względem kulinarnym wykształciliśmy się doskonale.

— Czy mieli panowie w czasie pobytu na Wyspie Niedźwiedziej jakie rozrywki?

— Bardzo niewiele. Nie było na to ani czasu, ani odpowiednich warunków. Do jedynych przyjemności należały polowania, gra w bridge'a, no i przedewszystkiem radjo, a w szczególności audycje sobotnie, w czasie których przemawiali do nas nasi najbliżsi.

Ewa Zychówna.



Ponury krajobraz...



Łodzie rybackie u brzegów Bjornoya.

GASTON CH. RICHARD

CZAR SKRZYDEŁ

TŁUM. STEFANJA HEYMANÓWA

(Ciąg dalszy).

Uśmiechnęła się, spuściła oczy i rzekła:
— Pozwólcie mi opowiedzieć, w jaki sposób przodek mój Hugo Bel du Colombel ożenił się z piękną Atuenasis de Fontenailles. Odbyło się to w roku 1538... Hugo Bel du Colombel był synem korsarza Jehana, który chociaż wolny obywatel i szlachcic, był jednak niskiego pochodzenia. Franciszek I nobilitował go za jego usługi, a bretońska arystokracja przyjęła go łaskawie do swego grona. Athenais de Fontenailles pochodziła z linji królowej Anny i między innemi pretendentami do jej ręki, młodymi, walecznymi, pięknymi i szlachetnie urodzonymi, znajdował się też hrabia Gombannet de Combourg, pan na Castelbriant.

Athenais nie mogła zdecydować się na wybór. Postanowiła, że zostanie żoną zwycięzcy w turnieju, zorganizowanym na jej cześć. Zwycięstwo odniósł Hugo Bel du Colombel, jemu też oddała swoją rękę... Rozumiecie, co wam chcę powiedzieć? — dodała Janka, czerwieniąc się. — Udamy się na turniej. I przysięgam wam tutaj, że wyjdę zamąż za tego, który zdobędzie miejsce najbliższe zwycięzcy, o ile sam nim nie zostanie. Narażacie się na wielkie ryzyko, ale ja narażam się na nie również. Oświadczam przed Bogiem, że się nie cofnę.

Czy się zgadzacie?

Spojrzeli po sobie

Oczy ich błyszczały radością, zapałem, miłością; podniecenie przyśpieszało bicie ich bohaterskich serc.

— Czy zgadzacie się obaj próbować szczęścia w sposób lojalny?

— Tak, Janko — odpowiedzieli jednocześnie.

— A więc, moi rycerze, uściśnijcie się.

Objęli się ramionami i jednakowym gestem każdy z nich ujął dłoń Janki i ze czcią podniósł do ust.

Dick, oniemiały ze zdumienia, asystował przy tej scenie... Oczy wprost wylazły mu z orbit i minę miał tak komiczną, że gdy wszedł do warsztatu, powitany został ogólnym wybuchem śmiechu.

— No... czego tak pękacie? — spytał.

— Śmiejemy się z ciebie. Gdybyś się przejrzał w lustrze, zrobiłbyś to samo — odpowiedział Canasson.

— A, niech tam! — rzekł Dick trochę urażony. — Ale gdybyście widzieli to, co ja widziałem, bylibyście niemniej poruszeni ode mnie.

W jednej chwili wszyscy skupili się wokół niego.

— Co takiego?... co widziałeś?... I co wiesz?... — pytano ze wszystkich stron.

Mechanika rozpierała duma.

— To nie na wasze kapuściane łby — oświadczył.

— Gadaj! — rzekł Joubert. — Nie daj nam dłużej czekać.

Słowa starszego majstra poskutkowały.

— A więc... słuchajcie! — zaczął Dick.

I swym barwnym językiem opowiedział całą scenę, której był świadkiem właściwie mimowoli.

— Domyślacie się, że mnie zatknęło.

— Trzeba było słyszeć, jak mówiła: „Słowo, honoru! Wyjdę za tego, kto będzie najbliżej „pierwszaka", nawet jeżeli nie zwycięży sam". Tak powiedziała. „I nie cofnę się, przysięgam!" I jak ona im opowiadała historję swej prababki, która zwyciężyła w turnieju. Mówię wam, to było więcej interesujące, niż dźwiękowiec w kinie. O, to sprytna bestyjka! Tymczasem ma dwóch narzeczonych.

Wszyscy słuchali.

— Czy nie miałem racji, gdy mówiłem, że dla eskadry taka kobieta to zakała, pomimo swych wszystkich zalet. Mówię wam, jakem Dick, że teraz odbędzie się pojedynek powietrzny i prawdziwe śmiertelne wyścigi...

CZĘŚĆ DRUGA.

1. Przygotowania.

Na lotnisku Duc - ler - Versailles panował gorączkowy ruch.

Lotnicy, którzy mieli brać udział w zawodach, codziennie wraz ze swymi mechanikami sprawdzali maszyny, ażeby działały jak najsprawniej.

Wśród zawodników i publiczności panowało wielkie podniecenie. Publiczność nie była jeszcze zblazowana wyczynami lotniczemi i bardzo się niemi emocjonowała.

Żaden konkurs jeszcze nie zgromadził tylu uczestników i w żadnym warunki nie były tak surowe.

Trasa, która miała być przebyta w ciągu 23 dni, była następująca: Paryż, Londyn, Berlin, Moskwa, Omsk, Irkuck, Mukden, Tokio, Pekin, Szanghaj, Hong - Kong, Saigon, Mandalay, Kalkuta, Karachi, Ispahan, Mossoul, Konstantynopol, Ateny, Rzym, Algier, Madryt, Londyn, Paryż.

Trasa ta nie przedstawiała więcej niż 40.000 klm. w linji prostej. Należało ją przebyć w niespełna miesiąc; czas lotu był ograniczony do 10 godzin na dobę, a między poszczególnemi etapami przewidziane były jednodniowe odpoczynki.

Po wielu dyskusjach start został wyznaczony na 1-go czerwca, z Paryża, z lotniska Le Bourget. Ale trzeba było w pośpiechu przygotować jeszcze inne tereny startu wobec napływu nowych zawodników. Polska, Portugalja, Węgry, Austrja, Czechosłowacja, Holandja zgłosiły swój udział, wyprzedzając Szwecję, Norwegję, Danję oraz Sowiety, które zapisały do konkursu sześć olbrzymich aparatów Lew - Jelikow. Do dawniej zgłoszonych trzech maszyn amerykańskich, przybyło jeszcze dziewięć. Kanada przysława trzy... Jednem słowem 91 samolotów miało jednego dnia startować, lądowanie zaś tak znacznej ilości maszyn w Croydon i Aldeichert groziło zamieszaniem. Wszyscy zawodnicy mieli prawo udawać się w dalszą drogę dopiero po poddaniu się kontroli, a większość miała zamiar pierwszego dnia po wizycie w Londynie i Berlinie zatrzymać się na noc w Moskwie.

Klemens Durand Gordel z synem, po wielu wahaniach zdecydowali się zgłosić jeszcze jeden aparat. Na trzy aparaty mieli tylko czterech pierwszorzędnych pilotów, nie mogąc zdobyć jeszcze dwóch „asów", pomimo wysokich sum, jakie ofiarowywali. A nie mogło być mowy o powierzeniu takiego aparatu jak „Kormoran IV" mało wykwalifikowanemu pilotowi, a nawet „średniakowi".

Piotr Durand - Gardel, Faugères i Huron des Mouliers zostali więc jako piloci oficjalni, Janka zaś na okres lotów trudniejszych miała kolejno pilotować z tym z lotników, który zechce korzystać z jej pomocy.

Zwycięzca konkursu poza wielką nagrodą Lotnictwa Międzynarodowego, wynoszącą półtora miljona franków, otrzymywał różnego rodzaju premje, które stanowiły sumę niemniejszą. Gra była warta stawki.

*

Piąta rano, dzień odlotu.

Klemens Durand-Gardel ofiarował gościnę swym współzawodnikom w olbrzymich hangarach Duc-les-Versailles. Znalazła tam schronienie cała eskadra japońska, cała niemiecka, samoloty And-Huy-Doddge, oraz jedna maszyna holenderska i 2 duńskie.

Mechanicy francuscy zaraz zaprzyjaźnili się z Japończykami. Z zainteresowaniem przypatrywali się ludziom niewielkiego wzrostu, o płaskich twarzach, skośnych oczach i źrenicach jakgdyby z czarnej laki, jak krzątali się koło swych maszyn. Powściągliwi milczący, z ciągłym uśmiechem na ustach, byli czynni od rana do wieczora, czyścili, polerowali, naoliwiali, lakierowali, ale nigdy nie zdradzali roztargnienia i pośpiechu i z wojskowem posłuszeństwem poddawali się odgłosom gwizdka swego „szefa", który się nazywał Ani Taraguschi.

Wszyscy oni otaczali swych „asów" głębokim szacunkiem i byli im bezgranicznie oddani. Major, książę Kawamachi, kap. Ino Takatsume, pilot cywilny Manjo Gokusai — wszyscy zasługiwali na swą pochlebną opinję. Wszyscy trzej, dość wysocy, smukli — dwaj pierwsi w mundurach wojskowych, trzeci — w wytwornym, granatowym uniformie pilotów „Towarzystwa Żeglugi Powietrznej Dalekiego Wschodu" — byli jednakowo grzeczni, uprzejmi i władali swobodnie angielskim i francuskim.

Ci trzej mężczyźni pragnęli koniecznie być przedstawieni Janinie Bel du Colombel. Znali jej historję, podziwiali jej brawurę, uznawali w niej cnoty, czczone od wieków przez Japończyków — odwagę, wiarę w to, co się przedsięwzięło, silną wolę i opanowanie.

*

Za każdym razem, kiedy major Kawamachi pojawiał się na lotnisku, przynosił Jance wiązankę róż.

On to właśnie nie wiedząc o tem wcale, zadecydował o losie młodej dziewczyny.

(D. c. n.).



ŁUCZNICTWO



Ongiś wynalazek łuku dał początek nowej epoce w dziejach ludzkości i na długie wieki stał się nieodłączną bronią człowieka. A i teraz jeszcze wśród ludów niecywilizowanych stanowi łuk linję demarkacyjną ich rozwoju.

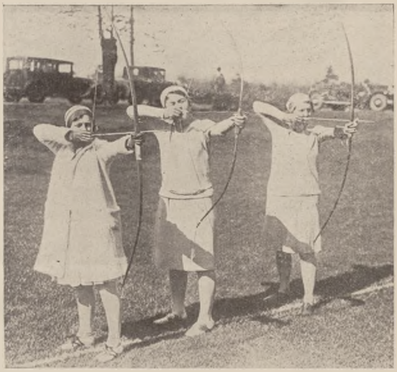
Dla nas do niedawna był łuk już tylko szacownym zabytkiem muzealnym, a od 10 niespełna lat, kiedy łucznictwo odrodziło się w Anglji jako sport, jest sprzętem sportowym o chlubnej tradycji.

Sport ten zyskuje z każdym rokiem coraz więcej adeptów, zwłaszcza wśród kobiet. I słusznie. Łucznictwo wyrabia w wysokim stopniu celność, śmiałość decyzji i opanowania nerwów. Jest to sport wybitnie estetyczny i wymagający wysiłków umiarkowanych jest szczególnie wskazywany dla dziewcząt, które powinny unikać sportów brutalnych, lub obliczonych na duży wysiłek mięśni.

Chociaż liczymy już duże zastępy łuczniczek, do niedawna nie miałyśmy sposobności ocenić ich poziomu sportowego. Dopiero zorganizowane 2 lata temu pierwsze Mistrzostwa Świata w Londynie, gdzie odnieśliśmy szereg zwycięstw, uświadomiły nam doskonałą klasę naszych zawodniczek.

W tym roku po raz drugi rozegrano mistrzostwa łuczne w Anglji. I tym razem powiodło nam się znakomicie: nasza wspaniała zawodniczka p. Kurkowska-Spychajowa po raz drugi wygrała indywidualne mistrzostwo świata a team, w którym wystąpiła z paniami Moczulską i Trajdosówną, zdobył ogółem 23 medale, dyplomy i t. d.

Łuczniczki polskie zaimponowały publiczności angielskiej swą wprost rewelacyjną formą. Warto przytoczyć tutaj nad wyraz miły dowód koleżeńskiego stosunku angielskich rywalek do gości. Gdy jedna z naszych łuczniczek złamała strzałę, przeciwniczka jej przerwała natychmiast strzelanie, zawiozła ją samochodem do wielkiego sportowego magazynu, gdzie nabyły strzałę, poczem powróciła z nią na tor, aby z opóźnieniem dokończyć meczu. Ta miła atmosfera wpłynęła dodatnio na usposobienie naszych zawodniczek. Faworytką była oczywiście fenomenalna p. Kurkowska - Spychajowa, której fotografje reprodukowała codziennie cała praca angielska.



Podajemy tu zasadnicze rezultaty: zespół panów na 90 metrów: Polska drugie miejsce, na 70 metrów Polska trzecie, na 50 — bez miejsca, na 30 — drugie miejsce. Panie: — na 70 metrów drugie miejsce, na 50 mtr. — 1-sze, na 30-ci — 1-sze. Indywidualne mistrzostwo na 50 mtr. Polska: 1-sze Kurkowska, 3-cie Trajdosówna, na 30 metrów— 2-gie Moczulska, trzecie Kurkowska. Trójbój oraz mistrzostwo świata wygrywa p. Kurkowska. Trzecie miejsce zajmuje Trajdosówna. W mistrzostwach zespołowych trójbój wygrywa Polska przed Anglją.

Jeśli nasz sport łuczny pójdzie dalej po tej linji, to Polska zyska jeszcze jedną placówkę propagandy na szerokim świecie.

Tu dodam, że warszawianki posiadają nienaganny tor łuczny na strzelnicy, mieszczącej się naprzeciw parku Paderewskiego. *J. P.*

KURJER DEKADOWY Nr. 10

20.X. — 1.XI. 1933 r.

1. WYSTĄPIENIE NIEMIEC Z LIGI NARODÓW.

Dnia 14 b. m. kanclerz Hitler ogłosił odezwę do narodu niemieckiego, w której oznajmił, że Niemcy zdecydowały się opuścić konferencję rozbrojeniową, a co za tem idzie, wystąpić z Ligi Narodów. Krok ten tłumaczy kanclerz niesprawiedliwem traktowaniem Niemiec na konferencji rozbrojeniowej, gdzie odmawiają im równouprawnienia, stawiając w poniżającem położeniu całe Państwo Niemieckie. Decyzję tę rząd niemiecki przedkłada opinji narodu i w tym celu rozwiązuje dotychczasowy parlament, a nowe wybory naznacza na dzień 12 listopada. To niespodziewane wystąpienie Rzeszy wywołało wielkie poruszenie i konsternację w Genewie. Zaskoczone tym zostały zarówno Francja, Anglja, jak i Ameryka oraz pozostałe państwa, zasiadające w konferencji rozbrojeniowej, gdyż wydawało się, że bliska już jest chwila, w której osiągnąć będzie można wspólne porozumienie w konferencji rozbrojeniowej. Krok Niemiec przekreślił wszystkie te możliwości i postawił pod znakiem zapytania nietylko losy konferencji, ale może stanowić groźbę dla istnienia samej Ligi Narodów. Był on może jedynie na rękę Włochom, które oddawna dążą do osłabienia instytucyj genewskich, pragnąc przenieść punkt ciężkości na pakt czterech, na który zaczynają znowu zwracać teraz uwagę, jako na jedyną w obecnej chwili platformę porozumienia.

Konferencja rozbrojeniowa wyraziła ubolewanie z powodu usunięcia się Niemiec i stwierdziła bezpodstawność użytych przez nich argumentów. Uznała jednak za konieczne w tych warunkach odroczyć swe obrady do dnia 26 października, dla rozważenia dalszego trybu postępowania.

Nadmienić w końcu trzeba, że krok Niemiec spotkał się z powszechnym potępieniem, a niczem nie usprawiedliwione żądania niemieckie zrównania zbrojeń otworzyły jedynie oczy tym, którzy dotychczas nie widzieli grożącego niebezpieczeństwa.

TITULESCU W WARSZAWIE.

Minister Titulescu podczas swojej wizyty w Warszawie podejmowany był przez ministra Becka, a nadto przyjęty został na specjalnej audjencji u Pana Prezydenta i Marszałka Piłsudskiego. Przyjazd tego najwybitniejszego męża stanu Rumunji, oraz serdeczne przyjęcie, jakiego doznał, jest dalszem jeszcze ogniwem w łańcuchu przyjaźni, łączącym coraz mocniej dwa narody.

WRĘCZENIE NAGRÓD POLSKIM ZWYCIĘZCOM BALONOWYM.

Uroczystość ta miała miejsce w Chicago, w obecności blisko 30.000 osób (w czem 25.000 Polaków), na terenie Wystawy. Na czele sformowanego pochodu jechał oddział kawalerji Stanów Zjednoczonych, za nim weterani armji polskiej z orkiestrą w niebieskich mundurach, harcerze polscy, sokoli, oddziały Ligi Morskiej i Rzecznej. Wśród niemilknących oklasków i przemówień odbyła się cała uroczystość, poczem tegoż dnia zwycięzcy polscy udali się samolotem do New-Yorku, skąd okrętem „Kościuszko" odpłynęli do Gdyni. Już w Gdyni witano ich triumfalnie, a na lotnisku mokotowskiem w Warszawie wyległy tysiączne tłumy, aby ujrzeć tych, którzy zdobyli tak wspaniale I nagrodę, która stanowi trzeci zkolei wielki sukces naszego lotnictwa.

PROGRAM FUNDUSZU PRACY.

Ustalony został program robót, które dokonywane być mają z Funduszu Pracy w roku bieżącym. Pomoc Funduszu dotyczy w pierwszym rzędzie robocizny i obejmować będzie bezrobotnych, zarejestrowanych i niezarejestrowanych oraz osoby, pozbawione środków do życia. Przewidywana jest przedewszystkiem budowa dróg, kolei, meljoracje, przygotowanie terenów budowlanych, drobne budownictwo mieszkaniowe, elektryfikacja i gazyfikacja.

System pracy przy robotach publicznych będzie przeważnie zespołowy z uwagi na konieczność zatrudnienia w niej młodzieży. Przewidywane jest dobrowolne uczestnictwo w pracy, przymusowe oszczędzanie przez członków zespołu pewnego procentu ich dziennych zarobków. Zespół odpowiedzialny jest za całość prac i ich wyniki. Życie wewnętrzne oparte będzie na ścisłej dyscyplinie i karności.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.



DZIEŃ OSZCZĘDNOŚCI

W dniu 31 października wraz z całym światem obchodzić będzie Polska Dzień Oszczędności. Data ta została ustalona przed dziewięciu laty na Międzynarodowym Kongresie Oszczędnościowym i obowiązuje wszystkie państwa, które doceniają tę cnotę, co to narody bogaci, a poszczególnym ludziom zabezpiecza spokojną starość.

Jak pisałyśmy w poprzednim numerze „Świata Dziewcząt", rozsądne oszczędzanie nie jest niczem innem, jak umiejętnem gospodarowaniem pieniędzmi.

Kiedy to zrozumiemy, z pewnością potrafimy się powstrzymać od rozmaitych niepotrzebnych wydatków i drobnych pokus i pozwolimy naszym groszom rosnąć w złote!

Najlepiej nauczymy się oszczędności przez *wrzucanie* drobnych kwot *do skarbonki*, której *nie można otworzyć*. Skarbonkę taką wydaje Pocztowa Kasa Oszczędności za groszy 30. Skarbonka jest zaplombowana i — można z niej wyjąć pieniądze dopiero po zerwaniu plomby. A że jest przytem blaszana, może służyć kilkakrotnie: każdy Urząd Pocztowy na żądanie nałoży nową plombę. Ci, którzy mieszkają na wsi albo z innych powodów nie mogą iść osobiście do Urzędu Pocztowego po skarbonkę, mogą o nią poprosić listownie, a skarbonka będzie im dostarczona do domu!

Jeżeli nie składamy do skarbonki pieniędzy na jakiś określony cel, powinniśmy je po jakimś czasie wnieść na książeczkę oszczędnościową P. K. O. Na książeczkę złożyć można dowolną kwotę, począwszy od jednego złotego wzwyż.

Składanie oszczędności na książeczkę, zamiast trzymania ich w skarbonce, ma tę dobrą stronę, że przynosi nam korzyść materjalną: P. K. O. płaci od wkładów oszczędnościowych 7 procent rocznie.

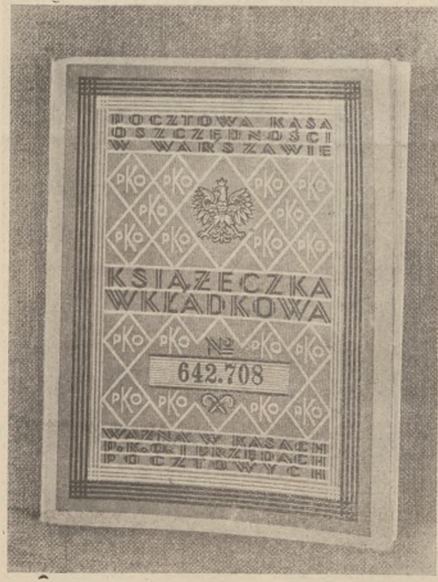
Na korzyści osobistej nie kończy się jednak dobroczynne działanie oszczędności! Ma ona również ogromne znaczenie dla całego państwa, gdyż P. K. O. złożone w niej sumy pożycza instytucjom i osobom prywatnym na cele rolnicze, handlowe, przemysłowe i inwestycyjne.

Książeczkę oszczędnościową dostać można darmo w każdym Urzędzie Pocztowym. Pieniądze złożone na książeczkę, możemy podejmować również w każdym urzędzie pocztowym — niekoniecznie w tem mieście, w którem je złożyliśmy.

Ta łatwość podejmowania pieniędzy sprawia, że wiele osób, zamiast nosić pieniądze przy sobie i narażać się na niebezpieczeństwo okradzenia, składa je na książeczkę i każdorazowo podejmuje potrzebną kwotę. A jeżeli chce wycofać wszystko — Urząd Pocztowy pisze o zezwolenie do Centrali w Warszawie i w ciągu kilku dni można wycofać cały wkład!

Najlepszym dowodem zaufania, jakiem cieszy się P. K. O. są cyfry.

W roku 1932 liczba książeczek oszczędnościowych wynosiła 933.434, a suma złożonych na te książeczki pieniędzy — 444.865.793 zł.



KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. FOTO-CHEMIGRAFICZNYCH TOW. WYD. „BLUSZCZ"

Warunki prenumeraty: rocznie — zł 12.—, półrocznie — zł. 7.—, kwartalnie — zł 3.50; miesięcznie — zł 1.30.

Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy. Szerokość 1 łamu [illegible]2 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ: Biuro Ogłoszeniowe Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87, tel. 2-44-18; Tow. Reklamy Międzynarodowej Sp. z ogr. odp. Marszałkowska 124; „PAT", Królewska 5; T. Pietraszek, Marszałkowska 115; Polska Agencja Publicystyczna, Marszałkowska 95; Międzynarod. Biuro Ogłoszeń, Senatorska 29; „Ruch" Wydz. Ogł., Poznańska 68; Jan Apte, Zielna 20; „Par", Bracka 17; „Merkury", Królewska 49; Kraków: „Par", Rynek 46; Cieszyn: Rudolf Pszczółka, Rynek; Katowice: „Par", Poprzeczna 8; Lwów: „Par", Akademicka 14; Łódź: Fuchs, Piotrkowska 50; Poznań: Polska Agencja Reklamowa „Par", 27-go Grudnia 10; Wilno: Biuro Jutana, Niemiecka 14; Gdańsk: „Devera", Kohlenmakt 10.

Redaktorka: Zofja Popławska. Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ"

Redakcja i Administracja: Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03. Konto P. K. O. Nr. 18.800

Redaktorka przyjmuje we wtorki i czwartki od g. 5½ do 6½. Sekretarjat czynny: poniedziałki i środy od g. 14 do 16, piątki i soboty od 10 do 12.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87, Tel. [illegible]-87-03.